



ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok V

Warszawa, dnia 14 listopada 1918 r.

Nakład:
40.000
Redakcja:
Dąbskiego 16
Administracja:
Dąbskiego 14
Cena 25 zł

Nr 46 (207)

JAN PARANDOWSKI

STEFAN ZWEIG



Stefan Zweig

RZADKO czytałem „Krakauer Zeitung” i może dlatego tak wyraźnie pamiętam jedną z nie-licznych godzin, które zmarnowałem na tę lekturę. Musiało to być z początku marca, bo wspomnienie wiąże się z powiewem przedwiosna, z chmurną przedwieczną porą, gdy góra ciągnął ożywczy ciepły wiatr. Znalazłem wówczas w kronice gazety krótką, pogardliwą notatkę o śmierci Stefana Zweiga, który jakoby wraz z żoną popełnił samobójstwo. Mówię: jakoby, ponieważ nie wierzyłem w to ani przez chwilę. Wszystko trąciło wyśmiałem: i to, że w Brazylii i to, że z żoną.

Kiedy go poznałem, Stefan Zweig nie był żonaty, co więcej wydawał mi się ogromnie przekonany o wyższości celibatu. I cóż by robił w Brazylii, podczas wojny, mając swój dom w Londynie? Dopiero po wojnie stwierdziłem, że notatka „Krakauer Zeitung” zawierała prawdę, rzecz tak niezwykłą. Długo nie mogłem się otrząsnąć ze zdumienia, ta śmierć była dla mnie zagadką aż do chwili, gdy przeczytałem „Świat wczoraj” — ostatni, z grubym głosem Zweiga. Okazało się, że przyniosły go ruiny jego epoki i że poza nią nie miał już siły do życia. Podobnym brakiem ufności i odwagi zgrzeszyła o dwa lata wcześniej Virginia Woolf.

I to mordercze zwątpienie dosięgło Stefana Zweiga na tym samym słonecznym kontynencie, gdzie wydał mi się tak świeży, pogodny i z taką swobodą krążył po świecie. Wtedy czuł się obywatel.

Spotkałem go w Buenos Aires, na kongresie PEN. Mieszkał w tym samym hotelu, jak wszyscy. Oczekując się wiosna argentyńska wszystkich nabawiła kataru, Duhamelowi chrypka odjęła głos, ja obawiałem się grypy, mnie tym bardziej martwiło, że nazi jutro był zapowiedziany mój wykład na uniwersytecie o literaturze polskiej. Stefan Zweig doradził mi zażegnanie niebezpieczeństwa koniakiem. Usiadłszy zatem w hallu hotelowym.

Rozmowa zaczęła się od Duhamela i Julesa Romainsa, których kandydatury były stawiane jednocześnie na opuszczoną przez Wellsa prezydenturę federacji PEN.

— To ich ostatecznie poróżni — mówił mi Stefan — Znam ich obu tak dawno, dla obu mam uczucia tej samej przyjaźni, i pan rozumie, jaka to dla mnie przykrość patrzeć na pogłębiającą się z latami niechęć tych dwóch niegdyś nierozłącznych kolegów. Wszystko, co roblem, by ich pojednać, było daremne.

W istocie, dwaj pisarze nie ukrywali przed nami swej animozji, często w publicznym przemówieniu jeden lub drugi wsuwał cierni, który był dla wszystkich widoczny. Jakże by się ucieszył Stefan, widząc, że dziś się pogodzili, i jakże by się zdziwił, że się to dokonało właśnie w Akademii Francuskiej, która Duhamel tak się wówczas szczycił, a od której Jules Romains tak się oddegniwał.

Zaczęliśmy obgadywać cykl „Les hommes de bonne volonté”, którego tomy tak szybko się mnożyły.

— Jules Romains — rzekł Stefan — ma ambicję Balzaka i płodnością niewątpliwie mu dorówna albo go nawet przewyższy, choćby dlatego, że jest zdrowszy i nie wyczerpuje swych sił wariackim trybem życia. Ale jest również niewątpliwie, że w tym dziele będzie więcej słabszych stron, ponieważ czarna w nim tematy, których nie można ani znać, ani zbadać gruntownie.

— Myślę o tym samym — odpowiedział — Dopiero co czytałem tom pt. „Mission à Rome” i uderzyła mnie banalność dramatycznych epizodów, jakby że przeżyciem plotek, a potem na wprost dziennikarski reżyserski akcja antyfaszysta niemieckiego. Rozczarował mnie również obraz Rzymu, w którym nie czuję się powietrza, zapachu, ducha tego miasta.

Tak zaczęliśmy mówić o Rzymie, z tego wyłoniła się krótka dyskusja o „Quo Vadis”.

— C’est un très bon roman — rzekł Stefan, odpierając przeklasy, z jakim się dał mówić o Sienkiewiczu, zwłaszcza we Francji, która w początkach naszego stulecia przeżyła największy sukces tej książki.

Rozmowa przerwała dwie panny, które poprosiły nas o autografy „awentury”. O każdej porze dnia aż do późnego wieczora odbywał się ten

pościg za autografami, każdy z nas miał inną metodę w zaspakajaniu pententów. Jedni improwizowali z ręcznych słówek, stosownie do osoby, inni wypisywali w swym ojczyznym języku niezrozumiałe zdania. Chińczyk, niezmiennie uprzejmy, był poszukiwany dla pięknej kaligrafii swych tajemniczych hieroglifów; Marinetti ogromnymi literami rzucał na kartę jakiś oszłamniający okrzyk. Nie wiem, co napisał Stefan, który, oddawszy pannom sztabuchy, strzepnął palcami i mruknął:

— Nonsens.

— Czy nie uważa pan jednak — rzekłem — że w ten może naiwny, może nawet bezmyślny sposób przejawia się kultura rzeczy najbardziej osobistej, najbardziej znamiennej u pisarza — dla jego pisma?

— Nie cierpię autografów. Co jest u pisarza naprawdę cenne, naprawdę piękne, to nie podpis, a nawet nie zdanie czy wiersz, rzucone pod wpływem banalnej okoliczności, ale rękopis, prawdziwy rękopis, pejzaż jego myśli twórczej.

I z wielkim ożywieniem zaczął opowiadać o swej zdumiewającej kolekcji rękopisów. Czego w niej nie było! Były tam utwory Rilkego, obu Mannów, Romain Rollanda, Gide’a, ale i takie dziwne, jak wiersze Rimbauda, „La messe d’un athée” Balzaka, a nawet — tu spojrzał na mnie z tryumfem — jeden z sonetów krymskich Mickiewicza!

— Ale to jeszcze nic. Moją prawdziwą pasją były katalogi rękopisów i autografów. Mam ich trzy tysiące. Nikt mnie w tym nie przewyższył.

— Chyba Bonnard.

— Jak? Bonnard? — Stefan poruszył się niespokojnie.

— Sylvestre Bonnard, membre de l’Institut.

— Ach, tak! — I roześmialiśmy się obaj. Za cieniem Sylwestra Bonnarda nadeignęło wspomnienie Anatola France’a, mówiliśmy o nagłym upadku jego sławy.

— Jego dzieła zbiorowe zupełnie leżą, wie pan?

Ten handlowy zwrot ożywił we mnie chęć poruszenia spraw, które od dawna mnie zaprzątały, spraw niewątpliwie drażliwych i zastanawiających, czy nie uchybił grzeczności, na jaką nikt bardziej nie zasługiwał niż ten miły człowiek o życzliwym uśmiechu i łagodnym głosie. Siedzieliśmy obok siebie, tak bliscy przez sympatię dla tych samych rzeczy i pojęć, a tak dalecy wszystkim co było w nas nieznanym.

Przyniesiono nam jeszcze po kieliszku koniaku i widząc, jak Stefan podnosi swój kieliszek do oczu, jak po-

woli go obraca, jak rozchylała mu się nozdrza, łowiące zapach napoju, ośmielony sybarytyzmem, który się zdradził w tych paru nieznacznych gestach, rzekłem:

— Mówiono mi, że jest pan bardzo zamożny.

Skinął głową, ale było widoczne, że nie ma zamiaru o tym się rozwodzić. — Moje pytanie — wyjaśniałem — nie było natury ekonomicznej, ale literackiej.

Zdziwił się, musiałem więc przejść do właściwego tematu.

— Bo widzi pan, z uwagą śledzę pańskie książki i jeśli nie wszystkie czytałem, wiem zawsze co pan pisze i wyraża. I oto patrząc na pańską twórczość, zastanawiam się, co pańska skłania do tak dalekich skoków wśród postaci historycznych, które pan opowiada. Maria Antonina, Erazm z Rotterdamu, Magellan — zdumiewa mnie ta łatwość przenoszenia się w tak różne światy, z których każdy wymaga nie tylko wielkich studiów, ale i osobnego przeżycia.

Zweig słuchał z głową opartą na dłoni, spokojny, ale przenikliwie patrzył mi w oczy.

— Powiedział pan: zdumiewa. Czy nie chciał pan powiedzieć: niepokoi albo gorzej? Teraz rozumiem, dlaczego pan pytał o moje finanse. Wyglądam na groszorbę...

Przez hall przeszedł Emil Ludwig i z daleka przesłał Zweigowi powitalny gest ręki, prawie dix huitième siècle. Wymieniliśmy uśmiechy.

— Nie — rzekłem — nie porównywał pana z tym komiwojażerem historii.

— Moje podróżeowanie wśród epok i ludzi — mówił Stefan — nie wynika z żadnej kalkulacji, lecz jest być może wadą mojego temperamentu intelektualnego. Zbyt wiele rzeczy mnie zaj-

mują, a nie wystarcza mi samo czytanie. Zetknąwszy się z jakąś pociągającą indywidualnością, nie umiem się oprzeć pragnieniu, by ją przeżyć i przedstawić. Tak musi odczuwać malarz na widok twarzy i postaci, które chce sportretować. Jeśli mi los da jeszcze dwadzieścia lat życia i to zdrowie, którym się cieszę, będzie pan miał powód zadziwić się jeszcze nieraz moimi tematami.

Tu wywiązała się rozmowa o jego sukcesach, licznych przekładach. Westchnąłem nad ubóstwem tłumaczeń z literatury polskiej.

— Teraz — dodałem — są czynione starania, by wprowadzić trochę książek na rynek francuski. Robi się to w ten sposób, że Polska opłaca wszystkie koszty i kopową książkę odsuwa księgarzowi francuskiemu do sprzedaży.

Oczywiście, nie ponosząc żadnego ryzyka, księgarz mało się interesuje takim towarem. Jestem bardzo temu przeciwny, uważam, że nasze książki powinny być wydawane przez nakładców francuskich, na normalnych warunkach.

— Nie ma pan racji. Rynek francuski, tak samo jak angielski, jest trudny. Ale od angielskiego jest przynajmniej bardziej wygodny, właśnie dlatego, że tam można zawierać transakcje, które pana niesłusznie razi. Oczywiście, jeżeli się trafi na człowieka gnuśnego lub złej woli, zapłacony nakład przepadnie w piwnicach. Ale można trafić lepiej, najczęściej trafia się dobrze. To nie nie szkodzi opłacić parę książek, aby utworzyć drogę inną. Nie wstydzę się przyznać, że pierwsze przekłady moich książek więcej mnie kosztowały, niż przyniosły zysku. Ale dzięki nim miałem później normalne i coraz lepsze kontrakty. Tylko Niemcy są łatwo dostępne dla obcych autorów.

— Ale nie dla nas. Wiem o tym i ogólnie i z własnego doświadczenia. Choć teraz mam poważną propozycję, którą tutaj mi przesłano. Co pan o tym sądzi?

I pokazałem mu list wydawcy berlińskiego Gurlitta, który chciał zawrzeć umowę najpierw na „Dysk olimpijski”, potem na inne książki.

— To przyzwoita firma — rzekł Stefan, oddając mi list. — Ale Gurlitt głównie jest znany jako „kunst-händler”.

Dał mi jeszcze kilka innych informacji, na sam koniec zachował niespodziankę: odsłonił mi pewien sekret z kursu olimpijskiego, mówiąc o intrygach, jakie ścigały moją książkę.

— Niech się pan nie dziwi: mam tyle znajomości, tak wiele obracam się w świecie, że sekrety literackie lgną do mnie z łatwością, a moja usługa pamięć pozwala mi zawsze skorzystać z nich w stosownej chwili.

Wyipytywał się jeszcze o tłumacza, a posłyszawszy nazwisko Kaczkowskiego, zaczął chwalić jego przekład „Chłopów”.



Stefan Zweig

— Trochę się pan dziwi, że znam to i owo z literatury polskiej. To przez stary sentyment. Jestem Austriakiem i nie tak dawno razem z kilkoma milionami Polaków miałem wspólną ojczyznę.

— Nie chciałbym pana urazić, ale ja nigdy nie uważałem Austrii za swoją ojczyznę.

Stefan Zweig milczał dłuższą chwilę, gładząc w zamyśleniu piękną skórzaną teczkę, którą przywiózł sobie z Rio de Janeiro.

— Tak — westchnął — W zetknię-

ciu z tymi sprawami czuję się zawsze jak człowiek innej religii wśród wyznawców obcego bóstwa. Wyzwoliłem się wcześniej z pojęcia narodowości w tym nieprzebadanym znaczeniu, jak się to wszędzie spotyka, a najwięcej w kraju, którego językiem myślę i piszę. Czuję się „u siebie” wszędzie, gdzie jest nasza wspólna kultura. Mieszkam w Londynie, bo tak mi się ułożyły stosunki ostatnio — i jest mi tam dobrze, ale, gdy wysiadam z okrętu w Nowym Jorku, dotknięcie ziemi amerykańskiej budzi we mnie ten dreszcz, który łączy się z myślą, że oto słońce, które nade mną świeci, odliczy mi z pewnością szereg dobrych dni. O Paryżu nie mówię, bo każdy jest zakochany w Paryżu. Ale oto widok tej teczki przynosi mi obraz Rio, czuając, i nadzieję, że to miasto ma dla mnie jeszcze nie przeżyte czasy.

Wesliśmy z zapalem w rozpamiętywanie urody Rio, którą ja poznałem z przedletniej wizyty, a ponieważ miałem tam jeszcze spędzić dzień w drodze powrotnej z Buenos Aires, Zweig spisał mi na odwrocie listu Gurlitta dzielnice godne widzenia.

Gawędziłszy jeszcze z pół godziny. Z poprzednich tematów, ostatni — obywatelstwo świata — odzywał się nieraz jak powracający motyw. Nie pamiętam czy Stefan palił — chyba nie, ponieważ go nie widzę za zasłoną dyny. Widzę go z rumianą twarzą, lśnącymi oczami, wygodnie siedzącego w fotelu klubowym, — co jakiś czas odwracał głowę i z przyjemnością patrzył na mnie. W hallu pisarzy wszystkich krajów, z których tak wielu znalazł już od dawna razem z ich ojczyzną. Ktożby śmiał wówczas pomyśleć, że właśnie Rio, cudowne Rio, stolica „pays de Cocagne”, jakieś syrenim głosem zwabi go w śmierć przedwczesną?

NEDAWNO zmarłomity pisarz, prezes brazylijskiego PEN Clubu, Claudio de Souza, przesłał mi swoją książkę pt. „Os ultimos dias de Stefan Zweig”. — „Ostatnie dni Stefana Zweiga”. W niej znalazłem, jeśli nie pełne rozwiązanie zagadki, to wiersz opowieść o tragicznym końcu tego Europejczyka.

Zweig opuścił Europę po roku wojny, był jakiś czas w Stanach, brał nawet udział w zakładaniu dysydenckiego PEN-Clubu, niepotrzebnej i niewłaściwej akcji Julesa Romainsa, później osiadł w Brazylii. Wybrał sobie na mieszkanie Petropolis, spokojniejsze od Rio, a niemal równie piękne. Zaimując z żoną mały dom pod palmami, prowadził życie ciche, stronił od tłumnych zebrań. Wymawiał się żalobą po tytule przyjaciół, towarzyszy, kolegach, po milionach ofiar z jego plemienia. Coraz głębiej odczuwał swoje wydziedziczenie. „Jestem człowiekiem bez praw i bez ojczyzny”. Mówił o wszystkich upokorzeniach, jakie go czekały w urzędach, w przedpokojach, w konsulatach — na resztę tułaczego życia.

Raz jednak udało się go wyciągnąć do Rio na widokowo nocny karnawał. Z początku rozstrągnięty i obojętny, uległ w końcu jego niesamowitej barwności. Zwiędział ulicę po ulicy, mieszkał się z rozbrzydnym tłumem, robił notatki pod feerią światła. Naza jutro popełnił samobójstwo wraz z żoną. 23 lutego 1942 roku. „Jakże słodko żyć w Petropolis” — pisał w liście do prefekta miasta. Tym westchnieniem zęgnął baśniowy kraj słońca i spokoju, w którym nie widział dla siebie przyszłości. Brazylija oddała mu najwyższe honory. Wszystkie władze, prezydent Rzeczypospolitej wraz z całym rządem, wszystkie towarzystwa naukowe, literackie artystyczne odprowadziły go do grobu.

Unadek Singaporem (15 lutego 1942) zaważył ostatecznie na szalach jego zwątpień i nadziei. Stefan stracił wiarę w zwycięstwo aliantów. Mówił, że wali się imperium brytyjskie i że pociągnie za sobą zagładę świata. Na wszystkich kontynentach wszędzie szatański sztandar Hitlera. Nie będzie już ani wolności, ani Europy, ani żadnej ojczyzny. Ten drogocenny wyraz, w latach szczęśliwych odsuwany, wrócił do niego w dniach zgrzyoty, potwarzał się we wszystkich listach, które znalazł na biurku po jego śmierci. „Nie ma wątpliwości — pisze mi Hermann Ould — że on nieświadził tułaczki w północnej i południowej Ameryce, był w swej naglejszej istocie Europejczykiem i nie mógł znieść myśli o stałym wygnaniu”.

Jan Parandowski

DZIEWCZYNA

STANISŁAW WYGODZKI

Z notatnika szpitalnego

We wstążkach wiatru jasne włosy,
na wstędze ścieżki smukłe nogi
i palę liche papierosy
niezwykle wesoł i ubogi.

Nie mająj pieśni tej dziewczyny,

nie mająj oczu, ust ni dłoni.

I tak zostanie mi jedynie

ten wieczór co się nam ukłoni,

I tak odbiegne jak ja wstęga

wiatru, ścieżki i spojrzenia

nocą spiętą, tak jak księga

klamrą dali i milczenia.

SPIEW

I w czasie gniewu
i w czasie ognia
bliżej do śpiewu
nocą i co dnia
i bliżej gromom
i dalej nieba,
gdy po kryjomu
placzesz w pogrzebach.
nieustający,
niezwyciężony
ranny i drżący,
ale nie konasz,
gniewny i śmiały
bitew i kłeski
w ogniu wystrzałów
śpiewie zwycięski,
w kształcie — strzępiasty,
w kształcie — wysoki
idziesz przez miasto
po moje zwłoki.

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI

przełożył JAN BRZECHWA

Rozmowa z inspektorem podatkowym o poezji

Obywatelu inspektorze! Przepraszam z góry...
 Dziękuję... proszę się nie trudzić...
 Chodzi o sprawę... postoję...
 o miejsce... delikatnej natury:
 Narówni z tymi... w socjalistycznym ustroju,
 podlegam obciążeniom... którzy są bogaci
 Za sześć miesięcy... i karom z tej racji.
 i dwadzieścia pięć... pięćset... ode mnie żądacie
 Praca moja... za niezłożenie deklaracji.
 każdej... to rzecz pewna,
 pracy... jest pokrewna.
 Proszę spojrzeć — stracił miałem niemalo,
 wielkie koszty... produkcji,
 a jakie zużycie... to rzecz pewna,
 Oczywiście... materiału.
 wiadomo wam... co to są „rymy”.
 Powiedzmy, wiersz... kończy się wyrazem „ojca”,
 wtedy w kolejnym wierszu... zgłoski powtórzymy
 i wstawimy... jakiegoś tam „o j. c a d r y c a — o j. c a”.
 Mówiąc po waszemu, rymy... to rewersy.
 Trzeba je dyskutować... co drugi wiersz, w dodatku.
 I szukasz... drobniaczko... końcówek do wierszy
 w opróżnionej kasie... czasów... i przypadków.
 Zaczynasz to... słowo... wypychać do utworu,
 a ono nie wchodzi — naciśniesz i złamiesz od razu.
 Obywatelu inspektorze, słowo honoru,
 po kopierce pocie... liczenie od wyrazu.
 Mówiąc po naszymu, rym... to beczka,
 Beczka z dynamitem. Wiersz jest lontem.
 Wiersz się dotli, eksplodują słóweczka, —
 i miasto leci... strofą nad horyzontem.
 Gdzie znajdziesz rym? I cenę wymów
 za rymy, co zabiją, gdy się nimi strzeli.

Może pięć takich... niebywałych rymów
 zostało jeszcze... gdzieś w Wenezueli.
 Południa znój... pociąga mnie i chłód północy.
 W zaliczki i pożyczki... rzucam się na zmianę.
 Obywatelu, odliczcie... koszty lokomocji!
 — Poezja — cała! — jest jazdą w nieznane.
 Poezja — to tak samo, jak rad
 Dla wydobycia gramu — wieloletnie trudy.
 Dla jednego słowa... zmarnujesz, rad,
 tysiące ton... językowej rudy.
 Jak spopielają... słowa co tak płoną,
 Jak są... te słowa — surowce... gorące.
 Jeżeli mogą... poruszać milionom
 serca... przez lat tysiące.
 Poeci, oczywiście, są na różny gust.
 Huź poetów... posiada dłoń zwinną
 Wiersz wyciągają, jak sztukmistrze, z ust
 sobie i innym.
 Cóż mówić... o ofiarach lirycznych kastracji?
 Chętnie do swego... cudzy wiersz wstawiają.
 To... pospolite... złodziejstwo i defraudacja,
 w rodzaju tych, co się panoszą w kraju.
 Te... dzisiejsze... wiersze i ody,
 które w oklaskach, rycząc, wiedzą...
 przejdą do historii... jako normalne rozchody
 na to, cośmy zrobili... my — dwa, albo trzy.
 Zjesz, jak to się mówi, pud soli stołowej
 i z setki papierosów... puścisz dymu kłby
 na to, żeby wydobyć... drogocenne słowo
 z artezyjskich... ludzkich głębin.
 Od razu się podatek... obniża... w ten sposób.
 Niechby zatem... z wymiaru... obręcz zera znikła!
 Rubel dziewięćdziesiąt... setka papierosów,
 rubel sześćdziesiąt — sól zwykła.
 W waszej ankiecie... pytacie mnóstwo raz:
 — Był wyjazd? Nie było wyjazdu?
 A co... jeśli... tużin pegazów
 zajeżdżilem... w ciągu... lat piętnastu?
 Zapytujecie mnie jeszcze... pokrótce
 o służbę... o majątek — w tym regu u spodu.
 A co... jeśli jestem... narodu przywódcą,
 a równocześnie — sługą narodu?
 Klasowy głos... z naszego... słowa się odzywa,
 a my, proletariusze, motory pióra z nas.
 Z upływem lat... maszyna duszy się zużywa.
 Mówią nam: — do archiwum, wypisał się, już czas!
 Już kocham coraz mniej... i mniej porywu w pracy
 i czoło moje... czas... z rozpędu kruszy.
 Nadchodzi... najstraszniejsza... spośród amortyzacji —
 amortyzacja... serca i duszy.
 Gdy słońce... wieprza spalonego... wzlotem

wезде... nad przyszłym... światem bez nędzarzy.
 ja... będę gnili już... skonawszy pod wietem
 obok... dziesięciu... kolegów - pisarzy.
 Zamknijcie, proszę, bilans mego życia.
 Twierdzą... i — wiem — nie kłamie przez minęte;
 na tle... kombinatorów, których dziś widzieć,
 ja tylko... — jeden! — ckażę się bankrutem.
 Nasz obowiązek — wy... syreny rykiem
 we mgle mieszczaństwa, w burzach nad odmetem.
 Poeta... jest zawsze... wszechświata dłużnikiem,
 placącym... te nieszczęsne... kary... i procenty.
 Dług mam... wobec Broadwayu... gdy światłem zabłyśnie,
 i wobec nieba, które nad Bagdadi zwisa,
 wobec Czerwonej Armii... i japońskich wiśni,
 wobec wszystkiego, o czym... nie zdążyłem napisać.
 A na co... w ogóle... ta czapka Sekwanie?
 Ażby rym był celny... i rytym wyraził?
 Słowo poety — to wasze zmartwychwstanie,
 to wasza nieśmiertelność, obywatelu kancelisto.
 Za setki lat... w papierowej ramie
 wiersz do obecnego... cofnie was momentu.
 I wstanie dzień ten... dzień... z inspektorami,
 z blaskami cudów, z odorem afromentu.
 Inspektorze dzisiejszy, jadać w nieśmiertelność
 niechbym choć z bezpłatnego... biletu korzystać, w... złotych. W
 a przerachujcie... nadto... wierszy celność
 i rozłóście zarobki moje... na lat trzysta.
 Ale siła poety... wcale nie tkwi w tym,
 że was... w przyszłości, wspomni czawką świat.
 Nie! I dziś przecież... poety każdy rym —
 to pieszczota... i hasło, i bagnet... i bat!
 Obywatelu inspektorze, wyplacę wam pięć.
 a te zera... przy cyfrze... poznoście.
 Z samego prawa... należy mi się... pięć
 wśród najbiedniejszych... robotników... i włościan.
 A jeśli... wam się zdaje, że gdy wiersze piszę,
 posługuję się tylko... cudzimi wyrazami,
 to oto... moje wieczne pióro, towarzysze,
 i — proszę — pisać... sami!

Z WYSTAWY JANA LENICY



DZIECKO WIELKIEGO MIASTA

Z WYSTAWY JANA LENICY



RYSUNEK SATYRYCZNY

EDMUND OSMANCZYK

DWIE NOWE KSIĄŻKI TOMASZA MANNA

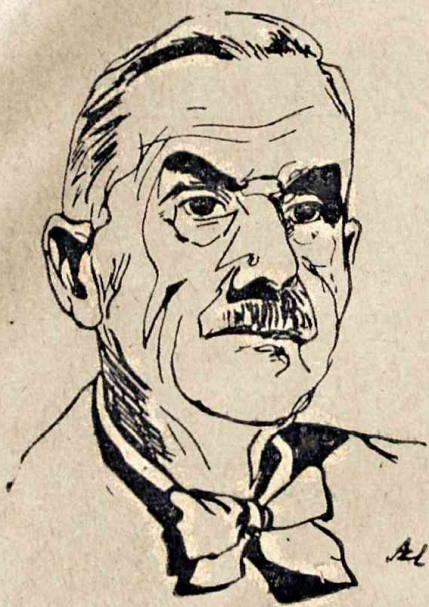
Berlin, w listopadzie 1945 r.

Prawie równocześnie ukazały się dwie książki Tomasza Manna, które są niewątpliwie czymś więcej, niż tylko literackim wydarzeniem. Nim powołani krytycy ocenia właściwie literacką wartość ostatnich prac wielkiego pisarza, pragnę zwrócić na nie uwagę wszystkich, którzy interesują się zagadnieniem niemieckim. Osobiście skłaniam się do przekonania, że obie książki w przyszłości oceniane będą jako symboliczne, graniczne słupy między epokami żywo niemieckiego narodu. I choć obie książki, jedna powieść, a druga zbiór esejów, nie równie są w swej wadze, to jednak związane są ze sobą równie silnie jak los Tomasza Manna z losem jego narodu, a los autora z losem dr. Faustusa.

„Nowe studia” („Neue Studien”, Suhrkamp Verlag, Berlin 1948, to zbiór pięciu rozpraw znanych już w większości z miesięczników literackich lat powojennych, rozpraw o „Niemcach i Niemcach”, o Goethe, o Dostojewskim, o Nietzsche i o biblijnym Józefie. Rozprawy te są jednak właściwie tylko komentarzem do monumentalnej powieści, noszącej tytuł: „Dr. Faustus” („Das Leben des deutschen Tonsetzers Adrian Leverkühn. Bermann - Fischer Verlag, Stockholm 1948). Obie książki są dziełem człowieka, który przeżył już lat przeszło siedemdziesiąt, zdobył sławę światową i z dala od kraju, dożywa swoich dni w pięknej willi nad Pacyfikiem. Wystarczy napisać: Mr. Thomas Mann, Pacific Palisades, California, USA, aby list dotarł bez trudu do rąk adresata.

Tomasz Mann, brat starszego odeń wielkiego pisarza niemieckiego Heinricha, a ojciec Eryki i Klausa, również piszących i cenionych za swe utwory, urodził się w mieście hanzeatyckim Lubece 6.VI.1875 r. Był to okres, kiedy Prusy po zwycięstwie Bismarcka nad Francją zjednoczyły w cesarstwie Rzeszę i rozpoczął się najwspanialszy rozkwit zaborczej potęgi prusko-niemieckiej. Prawie przez czterdzieści pierwszych lat swego życia Tomasz Mann oddychał potęgą pokojową swego kraju. Miał 28 lat, kiedy napisał powieść, wysuwającą go na czoło prozaików niemieckich i światowych — „Buddenbrooks”. Wojna wstrząsnęła nim i w 1918 r. ogłosił pełne zdumienia i przerażenia „Wojnę i śmierć” („Der Kampf um die Welt”), w której, uważając, że „wieloletnia niepolityczność” („Betrachtung eines Unpolitischen”) po sześciu latach ukazała się „Czarodziejską górą” („Der Zauberberg”) i wkrótce pięćdziesięcioletni potomek lubeckich patrycjuszów otrzymał nagrodę Nobla (1929), najwyższe w świecie odznaczenie

dla pisarza. W 1933 r. Mann uciekł do Czechosłowacji, lecz pełen był jeszcze wątpliwości, czy uczynił dobrze i zastanawiał się, czy jednak on, „człowiek niepełni-

rys. A. Z. Linke
Tomasz Mann

tyczny”, nie powinien skorzystać z żelaznego listu Goebbelsa i powrócić do odbudowującej się w narodowym, zrywającej ojczyzny. Przeważał — zdaje się — jednak wpływ „politycznie angażującego się” starszego brata Heinricha, który w latach Republiki Weimarskiej, a później na emigracji w Paryżu walczył zdecydowanie z hitleryzmem. Tomasz Mann nie powrócił więc do ojczyzny. Zamieszkał w Szwajcarii, później we Francji i pisał znów książkę „Nie polityczna” z czasów Goethego „Lotte von Weimar” (Bermann - Fischer Verlag, Stockholm 1945) która wyszła w pamiętnym roku 1939. Książka ukazała się wiosną, a jesienią tegoż roku Tomasz Mann wygłosił w Sztokholmie odczyt „o problemie wolności”, wymagającym politycznej postawy („Zwang zur Politik”) od każdego człowieka, którego wolność jest drogą. Sześćdziesięcioletni wielki pisarz zdecydował się walczyć politycznie. Po roku, już w Ameryce, rozpoczyna wygłaszanie przez radio w języku niemieckim odczytów do swego narodu. Te 55 mów radiowych z lat wojny, zebrane w książce pt. „Deutsche Hoerer!” (Bermann - Fischer Verlag, Stockholm 1945) są warte przeczytania. Wyjaśniają one bowiem w dużym stopniu powstanie „Nowych studiów” i „Dr. Faustusa”.

Próżny trud rzucanych na wiatr słów zmógł u Tomasza Manna zapal do walki politycznej. Nad brzegiem Pacyfiku, w zachodniej Kalifornii, w najpiękniejszym ogrodzie świa-

ta, dobiegający lat siedemdziesięciu wielki pisarz przeżywał wyobraźnią, mózgiem i sercem barbarzyństwo drugiej wojny światowej, rozpetanej znów przez jego naród. Słowa, które rzucił w eter po to, aby dotarły do wyobraźni, mózgu i serca rodaków, nie skracają jednak wojny. Nadchodzący wieści o coraz większych zbrodniach, obłądnych zbrodniach, dokonywanych w całej Europie z niemieckiej woli. Obłąd — oto jedyne wytumaczenie. I Tomasz Mann pisze studium o Nietzsche, kończącym żywot w domu obłąkanych i pisze studium o Dostojewskim, genialnym epileptyku i pisze o powieści o nowym Faustie, „żywocie niemieckiego kompozytora Adriana Leverkühna”, zakończony również obłądkiem.

W pierwszym rozdziale „Nowych studiów” p.t. „o Niemcach i Niemcach” wyznaje Tomasz Mann (odczyt ten wygłoszony został po angielsku przed publicznością amerykańską w r. 1945):

„...odnoszę wrażenie, iż życie wyraża z tego samego tworzywa, z jakiego powstają sny. Wszystko jest tak nieoczekiwane, tak mało prawdopodobne i tak niezwykle”.

A dalej:

„Cóż za fala snu przerzuciła mnie z najdalszego zakątka Niemiec, gdzie

się urodziłem i dokąd przecież należałem, do tej sali, w której stoję jako Amerykanin i przemawiam do Amerykanów? Nie dlatego mówię tym, by wydawało mi się to niesłuszne. Przeciwnie, zgadzam się z tym całkowicie — los zresztą potwierał się o to. Wszystko potwierdza dziś to, że mój rodzaj niemieckości najdoskonalej jest zachowany w rasowym i narodowym Uniwersum, w gościnnej, wolnej Kosmopolis, nazwanej Ameryką. Nim zostałem Amerykaninem, pozwolono mi być Czechem. Było to w najwyższym stopniu uprzejme i godne wdzięczności, jednak nie posiadało to żadnej treści ani sensu. Równie dobrze wyobrażam sobie, że zostałem przypiętym do muru Francuzem lub Anglikiem lub Włochem i zadowolonym stwierdzam, iż słuszniejsze było to, że stałem się Amerykaninem. Wszystko inne oznaczałoby zbyt ciasne, zbyt określone wyobrażenie mojej egzystencji. Jako Amerykanin jestem obywatelem świata, co tkwi w naturze Niemca...”

Mann jest szczęśliwy, że obywatelstwo amerykańskie wyrwało go z ghetta niemieckiego, gdzie słowo „internationale” od dawna stało się obelgą, a obok prowincjonalizmu zastrut atmosferą. — Wie jednak, że

„Jeśli się ktoś urodził Niemcem, to jest związany z losem niemieckim i z niemiecką winą”. I Mann podejmuje ciężar swej i swego narodu przeszłości.

Goethe umieścił bohatera swego Fausta na przelomie dwóch epok średniowiecza i humanizmu. Dr. Faustus, Manna, żyje w latach 1890—1930. Później popada w obłąd. Jest to więc też granica dwu epok, tej która minęła z obłądkiem hitlerizmu i tej, w którą wступujemy o teraz, nieświadomi jeszcze jej oblicza.

Mann pisze: „Diabeł więc, diabeł Lutra, diabeł Fausta, wydaje mi się bardzo niemiecką postacią, a zawieranie sojuszu z diabłem, zaprzeczanie mu się, zatracanie zbawienia duszy własnej za mocność zdobycia choćby na czas jakiś wszystkich skarbów i władzy nad światem — czyni bardzo bliskim istoty niemieckiej”.

I nagle wyznaję, które rozświetla przyczynę, czemu Dr. Faustus Manna jest eposem „żywota niemieckiego kompozytora Adriana Leverkühna”.

„Błędem baśni i poematu jest to, że Faust nie związany jest z m u z y k ą. On musiał być muzykalny i musi być muzykiem. Muzyka jest demonicznym obszarem...”

„Jeśli Faust ma być reprezentantem duszy niemieckiej, to musi być on muzykalny, bo abstrakcyjny i mistyczny, to znaczy muzykalny, jest stosunek Niemców do świata — stosunek demonicznie natłoczonego profesora, niezdarnego, lecz zarozumiałego przekonanego o swej wyższości nad światem dzięki swej „głębi”. A na czymże polega ta głębia? Właśnie na muzykalności duszy niemieckiej...”

Uwagi o Niemcach i Niemcach, niezwykle ciekawe, warte przetłumaczenia, Tomasz Mann włączył w książkę nawracaniem do powyższej tezy.

„Martin Luther, olbrzymie uosobienie istoty niemieckiej był niezwykle muzykalny...”

Opowiadając o buncie Tilmana Riemenschneidera przeciw uciskowi książąt i junkrów, Mann pisze:

„I to zdarzało się w Niemczech, lecz nie jest to specyficznie niemieckie. To natomiast wypowiedział Luther, muzykalny teolog...”

A w innym miejscu:

„Niemcy spóźniają się zawsze. Są oni spóźnieni, jak muzyka, która zawsze spośród wszystkich sztuk ostatnia stara się wyrazić czas epoki, kiedy czas ten już mija”.

To był rok 1945, kiedy w San Francisco Tomasz Mann wygłaszał swój odczyt. Po upływie dwóch lat w Zurichu mówił o filozofii i żywocie Nietzschego. Rozpoczął opowieść od daty (1889) załamania się psychicznego autora Zarathustry i słów żalonych Ofelii:

„O, what a noble mind is here overthrown!”

(O, coż za szlachetny umysł został zniweczony!)

W latach 1943—45 powstawał żywot Adriana Leverkühna, genialnego niemieckiego muzyka, który chce zdobyć świat i kończy jak Nietzsche obłądkiem. W latach 1945—47 Mann pisze swe „Nowe studia”, które mają zasadniczo raz jeszcze nową koncepcję Fausta. A jednak jest olbrzymia różnica między losem i Fausta i Nietzschego i Leverkühna. Nietzsche nie doceniał zła, Leverkühn doceniał je w pełni, a i m o t o poddał mu się.

Zywot Leverkühna, napisany wspaniałą marnowską prozą, jakże trudną do przetłumaczenia, jest zbudowany na zasadach kompozycji muzycznych. Czytałem krytyki muzycznych „niemieckich” i „światowych” recenzji, które przed genium Manna, który nie tylko nie istnieje nigdy utwory muzyczne Adriana Leverkühna potrafił oddać słowami, lecz całą swą opowieść o nowym Faustie potrafił przystosować do kanonów klasycznych kompozycji muzycznych.

Adrian Leverkühn urodził się w rok po szaleństwie Nietzschego, a odeszł w cieniu obłąkania na dwa lata przed dojściem Hitlera do władzy. Tio tych lat żywota niemieckiego nie jest przypadkowe.

Friedrich Sell, przyjaciel Tomasza Manna, ongi (do 1933 r.) profesor Akademii Pedagogicznej w Kassel, dziś Amerykanin, profesor jednego z College'ów w Massachusetts, w „Komentarzu do Dr. Faustusa”, ogłoszonym w majowym numerze „Die Wandlung” pisze:

„Gdzieś tkwi jednak analogia między losem Adriana a losem jego narodu? Tkwi ona w głęboko uzasadnionej skłonności charakteru do wrodzonej przynajmniej wszystko zarozumiałości”.

A dalej, ten oto prosty, znany i słuszny wniosek z żywota Adriana: „Zły los Niemiec kształtował się na długo przed Hitlerem”.

I wreszcie:

„Jest to książka wady i smutku, lecz nie nagany i pędu”.

W tej starczej mądrości Tomasza Manna tkwi cała wewnętrzna słabość obu „niemieckich” książek. Wystawiał tragiczny, wspaniały, geniuszem słowa wykuty pomnik swej epoki, który nie ma być drogowskazem, a tylko monumentem, postawionym na granicy dwóch epok.

Przeczytaniu obu książek zrozumieliśmy, dlaczego Tomasz Mann nie powrócił do Niemiec, i nie powrócił już nigdy. Tomasz Mann wszedł na szczyt i dojrzał przepaść, w którą pchnął się jego naród. I Tomasz Mann nie wierzył, aby poza wystawieniem tragicznego pomnika apadłym, uczynić mógł coś więcej. Przypominają się tu ostatnie słowa jednego z bohaterów powieści skierowane do odchodzącego Dr. Faustusa:

„Samotny człowiek składa ręce i mówi: Bóg niechaj będzie łaskawym biednej twej duszy, przyjacielu mój, ojczyzno moja!”

Samotny starzec żyje nad brzegiem Pacyfiku, dumnie, że „jako Amerykanin jest obywatelem świata — co tkwi w naturze Niemca...”

Kilkanaście tysięcy mil od Pacific Palisades żyje jego naród, w większości złyje jego marzący o „amerykańskim obywatelstwie światowym” dia Niemiec.

To wszystko, co ich łączy. A to tak straszliwie mało, aby móc się spotkać. Wie o tym Mann i nie wie. Pozostaje z nim starca wiedza i smutek. Wszystko — czas przeszły.

Witold Rowicki

Edmund Osmańczyk

List do redakcji

W sprawie sytuacji muzycznej w Polsce

nieorientowany w życiu kulturalnym kraju.

Jak niekorzystnie przedstawiono Rodzińskiemu sytuację muzyczną w Polsce, świadczy końcowy ustęp omawianego artykułu, ściślej — przytoczona wypowiedź Rodzińskiego na powyższy temat, oraz na temat związanych z tym planów organizacyjnych znakomitego dyrygenta, które zamierzał zrealizować po powrocie do Polski.

A więc najpierw sprawa „planu organizacyjnego”. — Autor artykułu cytuje słowa Artura Rodzińskiego: „Postawienie życia muzycznego w Polsce na jakim takim poziomie wymaga szczegółowego planu organizacyjnego”.

Te znaczy, że taki plan nie istnieje, że Ministerstwo Kultury i Sztuki, Związek Muzyczny, Związek Kompozytorów i inne powołane do tego instytucje „nie wpadły” dotąd na pomysł, aby można było planować i budować gmach kultury polskiej według „szczegółowego planu”, no i w związku z tym, nie możemy nawet marzyć o postawieniu życia muzycznego w Polsce na „jakim takim” choćby poziomie? — Panowie, czy nie ma w tym przesady?

Z kolei opis „braków” muzycznych: „Polska odczuwa obecnie brak materiału nutowego, który stosunkowo mało można dostać w Ameryce. Poza tym nie mamy instrumentów. W instrumentach drewnianych i blaszanych są braki ogromne. Aby te braki jako tako wyrównać, potrzebne są przede wszystkim pieniądze i jeszcze raz pieniądze”. Wszystko to zupełnie słuszne, a nieustannymi staraniami o to od trzech lat dowiedzieliśmy, że i tu w Polsce wiemy o tym bardzo dobrze.

I dalej cytując wypowiedź Rodzińskiego: „Poza sprawą instrumentów i materiału nutowego, kwestia piekącą jest dziś w Polsce zagadnienie instruktorów muzycznych. Instruktorzy tacy daleko się łatwo znaleźć. Np. we Francji. Można by i należałoby sprowadzić ich do Polski, by w konserwatoriach, których poziom powinien być bardzo wysoki, kształcić i wychowywać polski narybek muzyczny”. Zagadnienie znów dobrze znane, szeroko dyskutowane i docenione przez nasze władze (szczególnie potrzebni są instruktorzy — pedagodzy w dziale instrumentów dętych), — a jednak, mimo, że właściwie łatwe do rozwiązania, — wciąż tkwiące jeszcze na martwym punkcie.

Lub też czy można sądzić, że my nie wiemy, iż „wszyscy ludzie pracujący na odcinku muzyki symfonicznej powinni być tak opłacani, by nie potrzebowali dorabiać graniem w knajpach, dancingach i teatrzykach”.

Przecież nie tylko jesteśmy tego samego zdania, lecz walczymy o to bezustannie, dochodząc stopniowo do pozytywnych rezultatów.

„Skoro jednak i przed wojną i obecnie znajdowały się zawsze i znajdują się środki finansowe na liczne imprezy sportowe rozgrywane się za granicą, to wydaje mi się, że z chwilą, kiedy opiekę nad muzyką wzięło w swe ręce państwo nie można i nie należy być tutaj przesadnie oszczędnym”.

Słusznie, ależ ta dysproporcja sukcesów sportowych i muzycznych, przy odwrotnie proporcjonalnym wkładzie finansowym, to nie tylko zagadnienie tu popularne, ale wręcz sponspolowane.

Słowem Artur Rodziński został poinformowany o brakach naszych

jednostronnie nie będąc wprowadzony w atmosferę heroicznych nie małych wysiłków muzyków polskich, wysiłków czynionych w imię „podniesienia na jaki taki poziom”, polskiego życia muzycznego.

Najbardziej chyba niedostateczne informacje otrzymał Rodziński o ilości orkiestr symfonicznych w Polsce. — „Jestem zasadniczym przeciwnikiem tworzenia w Polsce dwóch orkiestr symfonicznych: radiowej i koncertowej (?). Na razie nie pora jeszcze na to”.

Ta wypowiedź wprowadza nas w prawdziwe zakłopotanie. W Polsce, dzięki stanowisku naszego Rządu, stworzono już ponad dziesięć orkiestr symfonicznych! I wobec tego zagadnienie utworzenia aż dwóch orkiestr symfonicznych jest nie tyle przedwczesne, co mocno spóźnione.

Informatorzy Rodzińskiego „przeczyli” najwidoczniej, że Polska jest krajem istotnie demokratycznym i że swą pracą kulturalną chce objąć jak najszersze rzesze obywateli. Należy im się to wreszcie. Dziś słuchacze koncertów symfonicznych, nie grupka kilkuset melomanów, lecz miliony ludzi pracy. I ich to już teraz należy zapytać, czy pozwolą zlikwidować jakąkolwiek ze swoich orkiestr. Spróbujmy odebrać im chociaż jedną!

I jeszcze: szkoda, że Informatorzy Rodzińskiego nie opowiedzieli znakomitemu „Master Builderowi Nr 1”, jak muzycy warszawscy stworzyli i utrzymali swoją Filharmonię.

I w jakich warunkach, w pierwszych latach powojennych, polscy muzycy orkiestrowi żyli, pracowali i walczyli o swoje Filharmonie.

Kto wie, czy tych polskich „Master Builderów” nie nazywałby Rodziński „cudotwórcami”, gdyż tworzyli w najcięższych warunkach, w kraju najstraszliwiej spustoszonej wojną, prawie bez pieniędzy. Czy trzeba dodawać, co by mogli zdziałać, ci opętani pasją tworzenia szaleńcy pracy i idei, gdyby mieli owe „pieniądze i jeszcze raz pieniądze”.

„Muzyka — to właściwie jedyny materiał eksportowy” — stwierdza w końcowej fazie swej wypowiedzi Artur Rodziński — „Zrozumieć to dobrze Cześć, których orkiestry symfoniczne objężdżają cały świat”. (Ściślej: Filharmonia Czeska — kilka krajów).

Nie bez radości możemy stwierdzić, że rozumieją to i Polacy i że w listopadzie r.b. wyjeżdża na swe pierwsze turnie zagraniczne (do Czechosłowacji) jedna z tych kilkunastu, nowopowstałych polskich orkiestr symfonicznych. (Wielka Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia).

Na zakończenie nie pozostaje nic innego, jak prosić znakomitego muzyka, aby nie odkladał jak na zbitych przyjechał do Polski. Potrzebne są nam jak najliczniejsze doskonałe wzory muzyczne i świetnie pracownicy na niwie podnoszenia i utrwalenia polskiej kultury muzycznej. Szczególnie że w dzisiejszej Polsce są po temu niemałe możliwości.

A gdy przyjedziesz Mistrzu i poznasz całą prawdę o naszym życiu muzycznym, nie wątpimy, że dasz zaufanie odprawę swym dotychczasowym informatorom. Otrzymasz zaś „potrzebne Ci warunki”, zabierając się do organizowania orkiestry przynależnej, że w porównaniu z tym, w jakich warunkach tworzyli tu inni, będzie to bardzo prostym zadaniem

HISZPAŃSKA

p. Mercedes Sanchez

Owoce spadły wcześniej
jak słodkie, dojrzałe gwiazdy
i zamieniały się w pieśni
kolory, które pogasły.

W Jerez de la Frontera
piją w kamiennej karczmie
Cyganie, lecz śpiew zamiera.
nim jeszcze dzień się zaczyna.

Pleją koguty ztklane
czerwone świty nad morzem.
Odchodzą Cambrios w nieznanie
i księżyc za miasto odchodzi.

Odjechał na nocy wierzchem
rycerz o tarczy srebrnej.
— Świeciłem wam, lecz pierzchliście,
bo jestem już niepotrzebny.

Gwardia Cywilna łamie
księżyc i wolne śpiewy.
Milczą zgarbieni Cyganie
i gwiazdy cygańskie — bez Ciebie.

„Nie bije serce poety”.
Zandarmi na koniach czarnych
zniknęli, a kastaniety
wskrzysły twój puls umarły.

I tętnia i wciąż oddycha
Hiszpania powietrzem twych pieśni.
Nocą niewoli i ciekad
zuchwały Cambrio — nie śpi.

IV

Grać trzeba, choćby struny pękły.
Piosenka — zielony wolności oddech.
która wśród gór partyzanckich
nocą spogląda w gwiazdy
lufami karabinów,
wśród gór.

Grać trzeba, choćby struny pękły.
Sam wiatr nocami brzdąka
w księżyców gitar śledem.
Podkowy szczęścia nie przyniosą —

ich ślad jak szczęki głodnej trwogi
za zandarmami szeregiem,
ich ślad.

Karabiny zabijają i dźwięczą.
Kastaniety dźwięczą, zabijają,
zabijają i dają życie.
Kastaniety: jedynych pieśni ziarna
Kastaniety: kościotrupów palce.

Eyl zachód — krwawy zachód noży.
Dziwaczynie szły za kulisy
wszystkiego, co było wokół.
Tam urwały się muzyka:
niepotrzebne, światła pełne tło.
I stały nagłe rusztowania:
krokwie twardego rytmu.
Przechodziły, tasując spojżenia
jak karty czarne i magiczne,
rozsypany talie zużyte
za kulami muzyki.
A może tylko
o dwa ode mnie kręgi
wzbudzone na powietrzu
biełem mojego serca.
Czerwone chusty gasły jak płomien
wtopiony w wodę
i deptał je ciemny werbel: kształt
cascij z kolorów melodii

Gdy o zabitych dziewczynach,
zamordowanych młodzieńcach,
mówią salwami kastaniety —
wyrasta mur czekuciwny
zryty seriami pocisków.
a Młode modlą się o to,
co nie zgina: o Wolność.
I kuli się ramię powietrze
chłostane przez kastaniety:
pamięta ciało dziewczyny
wyrwane objęciem światła —
ciała tych czarnych dziewczyn
zamordowanych dziewczyn.

Wiersz z tomu p. t. „Ołowiani żołnierze”,
który ukaże się wkrótce nakładem Wydawnictwa E. Kuthana

Zofia Nalkowska

o „Węzłach życia”

— Klub „Odrodzenia” niejako tradycyjnie przeprowadza rozmowy z autorami swoich książek i w ten sposób zbliża wielotysięczną rzeszę swych członków do czołowych pisarzy. Czy nie zechciałaby więc pani powiedzieć słów kilka o swoich „Węzłach życia”, które ukazały się jako piąta książka klubowa? Mam na myśli czas powstania utworu, którego fragmenty były publikowane przez dwa lata w „Odrodzeniu”. Wskazywałoby to na...

— Oczywiście — przerywa pisarka — jest to jedna moja książka pisana tak długo. Z dużymi wprawdzie przerwami, ale w ciągu całych dziewięciu lat. Przez czas wojny — raczej w postaci notatek i planów. A później, gdy już rozpoczęła drukować „Odrodzenie”, musiałam przerwać robotę nad tekstem z powodu udziału w pracach Komisji Badania Zbrodni Niemieckich. Wejście w ten świat odczuwałam mnie doznającego wrażeń, a siła doznawania „Medalionów”. Wiele innych takich przeżyć wywołało powstanie nowej serii „Charakterów”. Wreszcie podjęłam dawno zamysłoną „Książkę o ojcu”, której trzy początkowe rozdziały drukowałam w „Kulicy” i „Nawinach Literackich”. Po czym przerwałam i tę pracę, aby powrócić do „Węzłów życia”, których część trzecią i ostateczną redakcją udało się ukończyć przed dwoma tygodniami.

— Czy czas powstania łączy się z tematyką książki, której akcję rozpoczynały pierwsze miesiące 1933 roku?

— Zapewne tak. „Węzły życia” od początku miały być książką o ludziach pokolenia, które wyszło z Legionów i dorosło do Września. Rok Trzydziesty Dziewiąty stał się miejscem, z którego spojrzenie wsłuchano w niektóre odcinki tej drogi, nie dającej się zresztą ująć jedną oceną.

— Jak należy tłumaczyć tytuł „Węzły życia”? Czy jest to pełna symbolika legitymacji utworu czy też realne wyznaczenie tematu?

— Jeszcze w „Niedobrej miłości” a później w „Granicy” zajmowało mnie zjawisko wzajemnego określania się ludzi przez ludzi, wyznaczania sobie miejsca, nawet kształtowania charakterów. „Nie nie jest sam” — wszystko wypływa w uwi-

klaniu. Ujawnienie tych powiązań jest dla mnie trwałą pisarską pokusą.

— Czy wierzy pani w swoją drogę?



Zofia Nalkowska

ję plastycznej wizji czy w intelektualne powołanie postaci do życia?

— Wzruszenie, stanowiące powód pisania, powstaje zarówno przez fakt brania udziału w przebiegu zdarzeń, jak dostrzeżenia czy odkrycia tkwiącej w nich problematyki. „Intelektualizm” występuje przy wyborze, przy odrzuceniu nieprzebranego mnóstwa materiału, wyodrębnianiu tematu spośród wszystkich, co nim nie jest — przy tym, co po krótko nazywa się budową utworu.

— Jaka jest propozycja autentyczności faktów i postaci — do fantastyki?

— W książce tej — proszę pana — niczego nie wymyślałam. Jej ludzie

i sprawy wydają mi się całkowicie prawdziwe, choć żadna z postaci nie odpowiada ściśle modelowi.

— Czy „Węzły życia” to powieść

jeszcze za bliska jest sprawa, którą podejmuję. Rok Trzydziesty Dziewiąty będzie u nas, jak sądzę, długo jeszcze pociągł dla pisarzy i jego strasliwa wymowa znajdzie na pewno pełny epicki wyraz w dziele twórczym. Z mojej strony mogłam uwidocznić tylko poszczególne składniki tego bardzo złożonego zjawiska. Te mianowicie, w obrębie których znalazłam się, których ostatnie drgania sejsmiczne mnie dotęły. W tej też oczywiście mierze jest „polityczna” czy „społeczna”, czego jednak ustalenie muszę pozostawić innym, lepiej ode mnie znającym zakres tych pojęć.

— Bardzo ciekawa dla czytelnika i dla krytyki jest nie tylko opinia pisarza o stworzonym przezeń dziele, ale i sąd jego o miejscu, jakie wyznacza dla tego dzieła w hierarchii innych swoich utworów. Jakiej miśce zajmują „Węzły życia”?

— Każdy przemijający rok przetrząsa tę — wspomnianą przez pana — hierarchię i przestawia jej pozycję. Na ogół do całej mojej twórczości odnoszę się dość nieufnie, ceniąc najbardziej zwiłyte książki ostatnią — w tym znaczeniu, że biorę za nią odpowiedzialność.

— A zamiary na najbliższą przyszłość?

— Po odpoczynku, na który zasłużyłam, pracując przez wszystkie te miesiące w tempie przyspieszonym i bez wytchnienia (praca udziałem w jury nagrody „Odrodzenia” i w kengesie wrocławskim, co wytchnieniem nie było), powrócę do pisania „Książki o ojcu”, którą zamówił u mnie Państwowy Instytut Wydawniczy. Poza tym tenże instytut wyda wkrótce moje „Charaktery”, „Dawne i nowe”, wydawnictwo „Książka” — „Wybór Pism”.

rozmowę przeprowadził
Józef Słowiński

snecznie polityczna, czy też można ją w pewnym sensie nazwać „historyczną”?

— Nie jest „historyczna” — po pierwsze ten rodzaj literacki w ogóle nie jest mi dostępny. Po drugie

ARTUR SANDAUER

Nowe wiersze Mieczysława Jastruna

Podjętym od lat bez mała piętnastu przez krytyków, m. i. przez nieszczęśliwego Mieczysława Jastruna już to jako klasyczną awangardę już to jako pierwszego u nas — na europejską miarę — symbolistę, jakkolwiek niezupełnie być może wolne od schematyzmu, zdolny jednak ukazać osobliwej tej poezji: jej techniki skojarzeniowej, wielowarstwowości jej znaczeń, jak i ujawnić dokonany w niej podczas okupacji przełom: przejście od poezji bezczasowej do dziełowej i w najszerszym, bo norwidowskim tego słowa znaczeniu, aktualnej. Toteż przez rok temu na tychże łamach o „Wierszach wybranych” przewidywałem dalszy rozwój poety po nakreślonych przez okupacyjną „Godzinę strzeżoną” drogach; przewidywania, które wydany świeżo „Sezon w Alpach”¹⁾ częściowo tylko spełnia.

Już choćby dlatego, że „Sezon w Alpach” jest — zwłaszcza w pierwszej swojej części — dziennikiem podróży. Po raz pierwszy w tej, tak bardzo wewnętrznej i tak bardzo krajowej poezji pojawia się przeżycie — i ocena — Zachodu, a — ściślej — tej jego części, która, nie doświadczona żadną z przeżytych przez nas katastrof, umieszcza nas, przybyszów z wieku XX w nieoczekiwanym wieku XIX. Ta, niepozabawiona urokiem, podróż w przestrzeń zarazem i w przeszłość ma jednak i swoje niebezpieczeństwa: czy możemy my, „z rannych i z martwych powstałi”, my, własni pogrobowcy, znieść tę nazbyt ostalą, tę nazbyt dla nas — rzekłbym — bezpieczną atmosferę? Reakcje bywają tu niekiedy mylne i przesadne: nie tak dawno jeden z naszych najbardziej popularnych poetów satyrycznych, przybyszów do Szwajcarii, stwierdził w niej nadmiar spluwaczki. „Nawet na podłogę spluć nie wolno” — skonstatował w napisanym z tej okazji wierszu, obartym. O słuszności tego oburzenia pozwalamy sobie wątpić: nie wydaje się nam, jakoby Zachód godzien był potępienia nawet w swoich spluwaczach. Antyburżuazyjność nie powinna się przetrzącać w antycywilizacyjność: nie potępiamy u innych nadmiaru tego, na niedostatek czego cierpiemy sami.

Przeżycie Szwajcarii jest w zbiorze Jastruna inne i głębsze: otwarty na jej urok, na piętno patyny i średniowieczny jej miasteczko, dostrzega jednak zarazem ową tak dla każdego z nas, kto na Zachód przybywa, uderzającą ahistoryczność tamtejszego życia, nieodmierzaną, jak u nas krótkimi planów i spełnień, ahistoryczność, objawiającą się w życiu psychicznym — jako nuda. „Cezar idąc przez Alpy czuł nudę tych gór” pisał we wstępnym poemacie Jastrun. Nie wdając się w sprawdzanie trafności odsłyszania, nie możemy się oprzeć wrażeniu, jakoby nuda ta była świeższego pochodzenia: to przyleciały do Alp sporządza szwajcarskich hotelarzy i amerykańskich turystów.

ostatniej podczas wojny przemiany łączą się — jak wiadomo — ściśle z przejściem komunistycznej partii francuskiej w tymże okresie na pozycję narodową: to „upatrytywnienie” odzwierciedliło się w utworach Aragona, sięgających do prastarych, a jednak wciąż jeszcze żywych, źródeł poezji francuskiej, do średniowiecznej twórczości trubadurów. Odniesienie tych — w poezji polskiej mniej zadomowionych — form średniowiecznych i renesansowych, canzon, ballad i trenów, wynika u Jastruna w mniejszym niż u Aragona stopniu z sytuacji historycznej i należy raczej do ściśle formalnych poszukiwań. Wśród tych tradycjonalizujących utworów na szczególną uwagę zasługują monumentalny wiersz „Jeszcze kiedyś”, zbudowany z jednego zdania, które poprzez meandry oboczności prowadzi ku końcowej — również tradycyjnej u Jastruna — północy: „czas

„Miasteczko na dnie” Jana Drdy, przełożone u nas przez Zdzisława Hierowskiego i wydane w „Awirze”, wyszło obecnie po norweską w przekładzie Olava Ryttera, w Bergen.

Polski film o czeskim poecie. Polski reżyser S. Ferski nakręcił w Karlovecy Galerii w Pradze krótkometrażowy film o czeskim poecie Jerzym Kowasku ze Lwowa, gorącym przyjacielu Polski, który gromadził wielkie zbiory polskich pamiętek.

„Fabryka absolu” Karola Czapka ukazała się w wydawnictwie preskim Borowego w ósmym wydaniu, z ilustracjami zamordowanego przez Niemców Józefa Czapka.

Szwajcaria dla czeskiej nauki. Szwajcarska instytucja „Don Suisse” ofiarowała Uniwersytetowi i Politechnice praskiej cenne kolekcje dzieł naukowych, głównie z dziedziny medycyny, archeologii, historii, architektury i rolnictwa.

Życie Juliusza Fucika. Znany czeski dziennikarz i pisarz, Juliusz Fucik został w roku 1942 rozstrzelany przez Gestapo za pracę konspiracyjną. Po wojnie wydano pisany przez Fucika w więzieniu i uratowany dzięki jednemu ze strażników więziennych wspaniały „Raport z podziemia”. Książka ta ukazała się również w Polsce, w przekładzie H. Gruszczyńskiej-Dobowej. Obecnie donoszą z Moskwy, że absolu tamtejszego Instytutu Kłomato-graficznego M. Dobryna, opracowała biografię bohatera powieści pisarza na scenariusz filmowy. Materiał zebrala M. Dobryna podczas swego pobytu w Pradze.

U, czeskie warszawy. Jedno z najpiękniejszych kin w nowoczesnej dzielnicy Pragi czeskiej, na Karłowych Winogradach, otrzymało nazwę „Warszawa” — dla upamiętnienia jak podkreślono w przemówieniach, bohaterskiego powstania warszawskiego ludu przeciw niemieckim najeźdźcom.

Pomnik Mielłewicza. Stwierdzeniem Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Cze-

skiej i Miejskiej Rady Narodowej w Karlowych Varach zostanie na powrót wzniesiony pomnik Mickiewicza, zniszczony w tym mieście przez hitlerowskich okupantów w czasie wojny.

Nowy uniwersytet. Pierwszego października rozpoczęły się w Filozoficznym Wydziale na Wydziale pedagogicznym, który jest na razie częścią Uniwersytetu Karłowego w Pradze — ale ma się stać zaczątkiem nowej wyższej uczelni, która otrzyma także wydziały: lekarski, prawny i techniczny. Pilno jest, jak wiadomo, wielkim ośrodkiem przemysłowym i robotniczym.

Co przełożyli Czesi? W okresie powojennym przełożyli Czesi dwadzieścia cztery książki z literatury polskiej, podczas gdy u nas wyszło tylko dwadzieście przekładów z piśmiennictwa czeskiego. Wśród pisarzy współczesnych, których książki ukazały się w Pradze są: Andrzejewski („Noc” i „Ład serca”), Brzozowski, Dobraczyński, Zofia Kossak, Gołajewicz, Kruczkowski, Małewska, Rusinek, Szmeglewska, Szelburg - Zarembina, Wasilewska, Wiktor i Dygat. Z naszych klasyków przełożono na nowo: Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego i innych. Wkrótce wyjdzie w Pradze historia literatury polskiej.

Wymiana pisarzy. W roku przyszłym co miesiąc wyjeżdżać będą czterech pisarzy polscy do Czech i czterech pisarzy czeszy do Polski. Jest to doskonały sposób pogłębienia wzajemnej znajomości i przyjaźni.

O dziejach muzyki polskiej. Wielki czeski tygodnik „Kulturní Politika” przynosił wzmiankę o nowej książce polskiego muzykologa, prof. Zdzisława Jachimeckiego „Muzyka polska w rozwoju historycznym od czasów najdawniejszych do doby obecnej”.

Monografia o Tołstoj. W rocznicę urodzin Lwa Tołstoja ukazała się w Pradze krótką — stustronicową — i bardzo tania monografia Wacława Chabe „Lew Nikola-jewicz Tołstoj”.

Wojciech Natanson

Książki • Książki • Książki

POWIEŚĆ

„FUNDAMENTY”

Jerzego Pytlakowskiego

Warszawa, Wydawnictwo „Prasa Wojskowa”, 1948, str. 453

Pytlakowski podjął temat wielkiej i odpowiadającej. To jest jego zasługa. Oprócz niego żaden bodaj z naszych prozaików nie pisał do tej pory o powojennej odbudowie kraju. Pytlakowski pierwszy zainteresował się konkretnym, prawdziwym środowiskiem robotników i inżynierów — Państwową Fabryką Wagonów we Wrocławiu — i uczynił to środowisko bohaterem powieści. To krok odważny, krok pionierski.

Ala... krok odważny nie zawsze jest krokiem szczęśliwym. Oddawszy zatem Pytlakowskiemu, co Pytlakowskiemu, trzeba przejść do bardziej szczegółowego rozpatrzenia „Fundamentów”, a później dopiero wyciągnąć ostateczne wnioski.

Powieść Pytlakowskiego składa się z trzech warstw, dość nieścisłe przylegających do siebie. Pierwsza, w której główny autor czuje się chyba najwygodniej, to warstwa faktów autentycznych, warstwa reportażowa. Tu mamy rzeczową relację z odbudowy Fabryki Wagonów, realistyczne opisy pracy w wagonach. Niestety, warstwa ta zajmuje połowę powieści, najmniej miłego, wbrew pozorom i własnej zapowiedzi wstępnej, nie zaryzykował Pytlakowski z historii odbudowy Pafawagu osi fabularnej „Fundamentów”. Ot, niezbędną ekspozycję, nic więcej. A fabuła stanowi drugą, zupełnie odrębną warstwę powieści, warstwę awanturniczo-sensacyjną. Demoniczna konspiracja, wyczyny detektywa amatora Kobryńskiego, tragiczne losy młodego Brzozowskiego, pojawiające się i znikające tajemnicze figury-symboly, jak Brauch — oto wątki i elementy, składające się na nieporadną sensacyjność fabuły „Fundamentów”. Nie trzeba dawać, że to nierozkondywalne „historie”, zamiast uczynić książkę strasniejszą, podważają tylko jej sens ideologiczny i artystyczny. Wreszcie trzecia, skłócona z poprzednimi, warstwa powieści — to charakter. W tym miejscu zastrzegam się przed zbyt pochopnym twierdzeniem, jakoby w utworze, pretendującym do miana realistycznego, nie było miejsca na psychologię. To fałsz. Ale psychologizm — to nie ustawiczne grzebanie się we własnym wnętrzu, nie maniakalne analizowanie abstrakcyjnych uczuć, nie motywowanie postępów człowieka przez różne od-

miłany niewyżytego erotyzmu (Poczar, Kama, Grabisz, Jadwiga i inni!) Eohaterowie powieści Pytlakowskiego, to jakaś zbieranina historyków, pieczołowicie pielegnujących swoją historię, narzucających ją otoczeniu, rozkładających na cząsteczki niezliczone nastoję i żale. U wszystkich — i kierujących odbudową Pafawagu działaczy partyjnych, i szkockich tej odbudowie ludzi podziemia — na pierwszy plan wysuwają się jakieś wielkie psychologiczne kompleksy — na ogół fałszywe i nieumotywowane, albo co najwyżej i nieumotywowane, ale za to krzykliwe i pretensjonalne. Trudno oprzeć się wrażeniu, że tymi kompleksami autor usiłował zastąpić prawdziwe życie psychiczne swoich postaci, do którego nie umiał dotrzeć, posługując się inną metodą. Ale nie nie pomogło. Pozornie toż, subtelne i złożone życie duchowe tych bohaterów, jakie ubogie jest w istocie! Pomyślmy tylko: jest rok 1945, rok ogromnych przemian, wielkiej wagi wydarzeń. Autor pokazuje nam aktywnych w partynych, ludzi świadomych, ludzi z tradycją polityczną. Ale na przestrzeni całego, prawie pół tysiąca stronnic liczącego tomuśka — towarzyszy partyjni ani razu nie stoczyli dyskusji ideologicznej, nie zainteresowali się polityką — nie, Poczar umie tylko przeżuwać swoją krzywdę, samotność i miłość. Kurek odczuwa brak silnych wrażeń, Grabisz i Wolniński są zżerani przez ambicję, a Gawlik w ogóle nie myśli. Nie wierzymy Pytlakowskiemu, że Pafawag odbudowywali ludzie ograniczeni, samolubni, a przede wszystkim — ludzie obcy sobie, nie zespoliceni w kolektyw. Niepowodzenie artystyczne w tym miejscu urasta do rozmiarów eszterstwa, rzuconego na bohaterów książki.

Pytlakowski podjął temat wielkiej i odpowiadającej. I dlatego słowa krytyki są tu może ostrzejsze, niż, gdyby temat był blady. Pytlakowski jest pisarzem ambitnym. Jest piarzem — i to najważniejsze — partyjnym. „Powinien wyciągnąć konsekwencje z tego nieporozumienia, za jakie uważa należy „Fundamenty”.

Wiktor Worczyński



Mieczysław Jastrun

pokoju: współistniejące w jednym zbiorze składniki poezji Jastrunowej zstrząsają się i wyaskrawiają przez sąsiedztwo, podniecając się jak gdyby do ostatecznego konfliktu. Gdy z jednej strony niepokojąca, cetero cetero przedwojennej poezji Jastruna osiąga swój szczyt w pewnych opasach Szwajcarii, której krajoznazcy potwierdzają niejako od zewnątrz wewnętrzny pejazż poety i podkładają base śniegi rzeczywiste pod jego śniegiem pisane, to z drugiej strony napływ realiów, który — w pierwszych powojennych zbiorach Jastruna — mści się jeszcze jako tako w ramach jego dawniej estetyki, teraz grozi rozszarpaniem jej formalnych rygorów, modyfikacją samego sposobu widzenia; i poezja ta, która wykluczała dotychczas wszelki prozajizm, teraz wyraźnie nim nasiąka, rozluźnia swe miary, przechodzi w wiersz wolny, aby dać miejsce nadmiernym objaśnieniom rzeczowym:

— Ciebie pamiętam, starożytna wiosko Mięgo,
O śpiączkach wielkich jak gontyny
z glazu,
Jak gontyny na kamiennych kołach
(By zabezpieczyć zboże przed
najazdem myszy)
O domach, których zielone okienka
tworzą z lazurem idylliczny pozór
Miasteczko gędy i komienia,
Gdzie plot barwni zdartych afisy
Przypomnił mi obrazy van Gogha...

Tej inwazji prozajizmu do poezji Jastruna towarzyszy prawie wszędzie — i to jest nieoczekiwany aspekt trzecio-wy tych „Wierszy w Alpach” — odnajdujemy wiele obsesji tematycznych, znanych nam już z przedwojennej „Strumienia”, i aż do pewnych wyrażen i przenośni, to nawet ten może być powitać jedynie z radością jako objaw tej odbudowy życia wewnętrznej, która jest jednym z najistotniejszych zadań powojennej poezji. Nie jakoby odbywał się on z uszczerbkiem dla przybyłych po wojnie dziejowo-humanistycznych elementów: wiersze jak „Wojna”, jak „Ballada o puszczy Świątoborskiej”, jak „Tren na śmierć generała Świerczewskiego” świadczą dostatecznie, iż „Sezon w Alpach” jest rodzajem syntezy między przeszłości a powojenną poezją Mieczysława Jastruna. Syntezy jednak nieopartej bynajmniej na zasadzie pojednania i zlania tych tak sprzecznych elementów w jednolitą całość. Jest to raczej rodzaj zbójnego

Artur Sandauer

GUY DE MAUPASSANT

przełożył ADOLF SOWIŃSKI

WYZNANIE

Gdy kapitan Hektor Maria de Fontenne poślubił pannę Laurynę d'Estelle, rodzice i przyjaciele orzekli, że będzie to małżeństwo niedobre.

Piękna, szczupła, krucha, jasnowłosa i śmiała panna Lauryna miała w dwunastym roku życia pewność siebie kobiety trzydziestoletniej. Była to jedna z tych młodych, a nad wiek dojrzałych paryżanek, które zdają się rodzic z kompletną wiedzą o życiu, z wszelkimi kobiecymi podstępami, z wszelkim zachwalstwem rozsiły, z głęboką przebiegłością i gętkością ducha, która powoduje, że niektóre istoty muszą niby przez zrządzenie jakiegoś fa-

wszod rozmowy o operacjach militarnych, jedynym temacie, który potrafił rozpaść kapitana, jego sąsiad przy stole, komendant de Favre, dolewał mu raz za razem. Było w ciągu dnia bardzo gorąco, panował upał ciężki, wysuszający, sprządzający pragnienie, toteż kapitan pił bezmyślnie i nie spostrzegł się nawet, że stopniowo wstąpiła weń nowa wesołość, jakaś radość żywa i płomienna, szcząśliwość istnienia, pełna obudzonych pragnień, nieznanymi apetytów i niejasnych nadziei.

Przy deserze był już podchmielony. Rozprawiał, śmiał się i młotał, porwany hucznym upojeniem, szalo-

swój. Prześladowało go wspomnienie upadku i poczucie winy, przekiętej winy wobec własnej żony.

Zobaczył ją dopiero z końcem miesiąca, ponieważ okres manewrów spędzała u swych rodziców.

Powróciła doń z otwartymi ramionami i z uśmiechem na wargach. Przyjął ją z zakłopotaniem winowajcy i aż do wieczora prawie wcale z nią nie rozmawiał.

Spytała go, gdy zostali sami:

— Co ci się stało, mój kochany? Zmieniłeś się bardzo.

— Ależ nic, moja droga — odpowiedział z przymusem — zupełnie nic.

— Wybacz, ale ja cię dobrze znam i jestem pewna, że ci się coś stało, że masz jakiś kłopot, zmartwienie, przykrość, czy ja wiem, co?

— No więc tak: mam zmartwienie.

— Aha! Cóż takiego?

— Niepodobna mówić o tym z tobą.

— Ze mną? Dlaczegoż to? Jestem zanierkojona.

Usiadła na kozetce, podczas gdy mąż założywszy w tył ręce i unikając spojrzenia żony, chodził wzdłuż i wszerz pokoju. Podjęła:

— Widzę, że muszę cię wypowiadać. To mój obowiązek. I domagam się prawdy. To moje prawo. Nie możesz mieć przede mną tajemnic, skoro ja nie mogę ich mieć przed tobą.

Stojąc obrócony do niej plecami na ile wysokiego okna, wyrzekł:

— Moja droga, są rzeczy, o których lepiej nie mówić. Ta, która mnie dręczy, należy do ich rzędu.

Wstała, przeszła przez pokój, ujęła męża za ramię i zmusiła go, aby obrócił się ku niej przodem, a położywszy mu obydwie ręce na barkach, powiedziała podnosząc ku niemu oczy i uśmiechając się doń przymilnie:

— Ależ Marysiu (nazywała go tak w chwilach tliwości), ty nie możesz niczego przede mną ukrywać. Gotowaś pomyśleć, żeś uczynił coś złego.

— Uczyniłem coś bardzo złego — wyszeptał.

— Ocho! — powiedziała wesoło. — Aż coś złego? To zdumiewające, jeśli chodzi o ciebie.

Przyciągnęła go do fotela, zmusiła, aby usiadł, sama usiadła mu na prawym kolanie i musnęła fryzowany koniuszek jego wąsów lekkim pocałunkiem, pocałunkiem przelotnym i skrzydlatym.

— Jeżeli mi nie powiesz, to się pogniemy na zawsze.

Bąknął wśród rozdzierających wyrzutów sumienia i dręczącego niepokojem: — A jeśli ci opowiem to, co uczyniłem, nie przebaczysz mi nigdy.

— Przeciwnie, mój kochany, przebacze ci natychmiast.

— Nie, to niemożliwe.

— A ja ci przyrzekam.

— A ja ci mówię, że to niemożliwe.

— Przysięgam, że ci przebaczę.

— Nie, moja droga Lauryno, nie będziesz mogła przebaczyć.

— Jakiś ty naiwny, mój kochany, żebyś nie powiedział — głupi! Jeżeli wzbudzasz się opowiedzieć mi, coś uczyniłem, pozwalasz mi myśleć o rzeczach ohydnych. Będę o nich myślała i będę jednakoż urażona twoim milczeniem jak twoją nieznana zbrodnią. Tymczasem, gdybyś wszystko szczerze opowiedział, zapomniałabym już jutro.

— A więc...

— Cóż więc?

Zaczerwienił się aż po same uszy i rzekł głosem poważnym:

— Wypowiadałem się przed tobą, Lauryno, jak gdybym spowiadał się przed księdzem.

Z tym przelotnym uśmiechem na wargach, który przybierała niekiedy podczas słuchania, powiedziała tonem nieco drwiącym:

— Zamieniam się cała w słuch.

Podjął:

— Wiesz, moja droga, jaki jestem wstrzemięźliwy. Piję tylko wodę zakropioną winem, a już nigdy likieru, sama wiesz.

— Ale podchmieliłeś sobie tak rzeczywiście? Przyznaj się! Do tego stopnia, że nie mogłeś chodzić? Powiedz!

— Och nie, zupełnie inaczej. Straciłem rozum, a nie równowagę fizyczną. Gadałem, śmiałem się, byłem szalony.

Gdy umilkł, zapytała:

— To wszystko?

— Nie.

— Ach, tak! A... potem?

Wstrząsnęła się lekko, oczy jej rozbiły od nagłej wesołości, wesołości prawdziwej i nieprzepartej.

— Tyś mnie... — rzekła — tyś mnie... tyś mnie...

Oschły, nerwowy i urywany śmiech wydarł jej się trzykrotnie pomiędzy zębów, przecinając słowa.

Usłowała spoważnieć, ale za każdym razem, gdy próbowała wymówić jakieś słowo, śmiech gotował się w gardle, wytryskał, dawał się na krótko pohamować i wydobywał się od nowa, wydobywał się jak gaz z odkorkowanej butelki szampa, gdy nie można powstrzymać musowania. Przyciskała sobie dłoń do warg, aby się uspokoić, aby wyciszyć siebie w usta ten niesczesny atak wesołości, ale śmiech wyciekał jej spod palców, wstrząsał pierś, wystrzelał wbrew jej woli. Mówiła krztusząc się: „Ty... ty... mnie zdradziłeś... — Ha!... Ha! ha! ha! ha! ha!”

I wbrew woli spoglądała nań tak osobiście, tak szyderczo, że osłupiał doszczętnie.

Aż nagle, nie mogąc się już dłużej powstrzymać, wybuchła. Poczęła się śmiać śmiechem, który robił wrażenie ataku nerwowego. Ostre okrzyki rwały się jej z ust, wychodząc jak gdyby z głębi piersi. Przycisnąwszy obydwie ręce do dolki zanosila się tak długo, jak gdyby podlegała napadom koksusu.

Każdy zaś wysłtek, jaki czyniła, aby się uspokoić, prowadził do nowego ataku, każde słowo, które chciała wypowiedzieć, skłaniało ją do jeszcze większego pokładania się ze śmiechem.

— Moje... moje... moje... niebożako... ha! ha! ha! ha! ha! ha!

Wstał, pozostawił ją samą w fotelu, nagle pobił i rzekł:

— Lauryno, jesteś więcej niż nieprzyzwolta.

Wydobyła z siebie w szale wesołości:

— Co... co ty chcesz... ja... ja... ja nie mogę... taki... taki... jesteś zabawny... ha! ha! ha! ha!

Posiadała i spoglądała na nią osłupiałymi oczyma, w których zrodziła się dziwna myśl. Naraz otworzył usta, jak gdyby chciał coś wykrzyknąć, ale nie powiedział nic, obrócił się na obcasach i wyszedł trzasnąwszy drzwiami.

Zgięta we dwoje, wyczerpana i omdlejąca Lauryna śmiała się jeszcze śmiechem, który konającym, który chwilami odżywał jak płomień pożaru prawie wygasłego.

Guy de Maupassant
przełożył Adolf Sowiński

*) Z przygotowywanego do druku przez Spół. Wyd. „Książka” wyboru nowel Maupassanta w nowym przekładzie.



rys. Krzysztof Henisz

— Tak, wiem o tym.

— No więc wyobraź sobie, moja droga, że pewnego wieczoru pod koniec wielkich manewrów, gdy byłem bardzo spragniony, bardzo zmęczony, bardzo zmożdowany, poniosło mnie trochę przy piwie i...

— Podchmieliłeś sobie? Fe, to nieladnie!

— Tak, podchmieliłem sobie. Przybrała surową minę.

— Potem... popełniłem... popełniłem nieczemność.

Spojrzała nań zaniepokojona, trochę zakłopotana, a nawet wzruszona.

— Cóż takiego, mój kochany?

— Byliśmy na kolacji z... aktorami... i nie wiem, jak to się stało, ale ja cię zdradziłem, Lauryno!

Wyrzekł to głosem poważnym, uroczystym.

JERZY FICOWSKI

I

Z tamtej strony jeziora stała lipka zielona.

A pod tą lipką, pod tą zieloną brzołą mi zastrzelono.

Jednak szumią jej liście na odepście i na przyście —

uśnijże mi synku, uśnij, malusieńkie oczka stuśnij.

Matka cię przytułi

w śmiertelnej kcszuli.

W grób nieznany synów kładą matki nasze — camerados.

W naszych krajach wszystkie drogi prowadzą do wspólnych mogił.

Zasiewajcie grób kwiatami, niech się owce pasą na nich.

Gdy upasą się na runi skreślimy z ich kieszek struny.

Zadźwięczy pieśń wolna, czysta, Gwałdkwivirem i Wisłą.

Gdy dzieci wasze dorosną, załapią romance boso,

załapią smagłe dziewczyny, dni się jak oddech rozwiną

na świecie wolnym i prostym, gdy owce twoje dorosną.

Ty pójdziesz górą, a ja doliną, lecz się spotkamy.

by naszym matkom, naszym dziewczynom

nie rozsyppwał się w niołach cwoć żywota

amen.

II

Masz nóżki tak maleńkie,

że na monecie tańcząc, swą stopą srebra nie tkniesz

w tym samym miejscu dwakroć.

Gdy idziesz, jak cień młoko, rytmicznie się kołyszysz;

na pewno w pantofelku ukrywasz kapelmistrza.

Gitara struny cztery

ma — wartka pieśń kądziel.

Jej dźwięki nie s' etern,

— podobne blaskom w wodzie —

SUITA

Spiewam ja tobie, któraś
rodzoną ziemi ciorą.
Czarna jest, czarna, dobra ziemia;
czarna dziewczyna, której śpiewam:

Gdy błyskawica blasku
przecina usta
nabrznięła burzą czerwieni —
— uśmiechasz się

Gdy w mrocznych gniazdkach nocy
czuwają pisklęta światła
pod cieniem rzęs —
— patrzysz.

Gdy małe smagłe muszle —
wyrzucone falą włosów na brzeg —
napętnia muzyka —
— słuchasz.

Wiedzy zaczynam ufać
uśmiecchom, oczom i uszom
i wierzę w tróję —
— jedyną w trzech postaciach

Gdy błyskawica huku
rozbiła dom twój —
— i płacze dom zastrzelony —
giniesz.

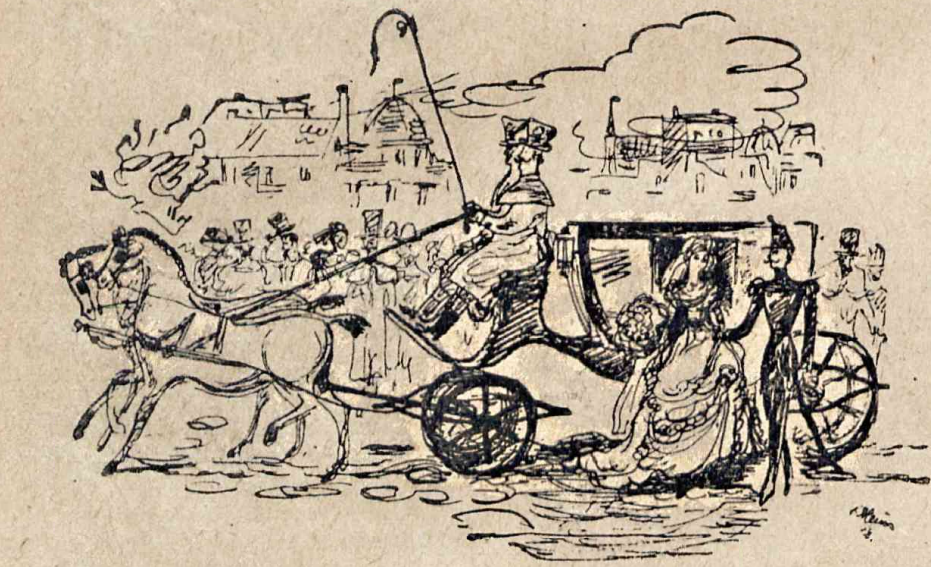
Gdy w celach Toledo, Madrytu,
ryjesz na cegłach znak swój —
swe imię, by ślad pozostawił
braciom —

obłoki ciężarne twym bólem
płyną nad moim miastem,
a deszcze, które z nich szumią,
gorzkie są od twoich łez.

III

Romanca o śmierci Federica Garcia Lorce

Rozdawały barwy, dźwięczące
jak monety w skórzanych kieskach
Cyganki i w oczy szła Lorce
noc kastylijska, niebieska.



rys. Krzysztof Henisz

tum — we wszystkim, co czynią, wywodzić innych w pole i prowadzić z nimi grę. Każdy z ich postępów dokonuje się jak gdyby z premedytacją, każdy krok jest obliczony, każde słowo rozważone. Ich życie to tylko rola, którą odgrywają wobec bliźnich.

Lauryna była ponadto uroczą; i śmieszka, straszna śmieszka, nie umiejąca ani powstrzymać się od śmiechu, ani go uśmierzyć, gdy coś wydało jej się zabawne i pocieszne. Śmiała się ludziom w nos najbardziej wstydniej w świecie, ale tak czarująco, że nie gniewano się nigdy.

Była bogata, bardzo bogata. Pewien duchowny odegrał rolę swata w jej małżeństwie z kapitanem de Fontenne. Ten oficer, wychowany bardzo surowo w religijnym domu, przyniósł z sobą do puku obyczaj klasztorne, nieugięte zasady i zupełną nietolerancję. Był to jeden z tych ludzi, którzy nieochybnie zostają świętymi lub nihilistami, bo idee stają się w nich władczyniami absolutnymi. Ich przekonania są niewzruszone, a postanowienia niezłomne.

Był to wysoki brunet, poważny, surowy, naiwny, prostoduszny, ograniczony i uparty, jeden z tych ludzi, którzy przechodzą przez życie nie dostrzegając ani razu jego podszewki, odcieni i subtelności, którzy nie domyślają się niczego, niczego nie podejrzewają i nie przypuszczają nawet, że inni mają inne niż oni myśli, sądy, przekonania i postęпки.

Panna Lauryna zobaczyła go, przejrzała do głębi i natychmiast zgodziła się na małżeństwo.

Stanowili małżeństwo doskonałe. Ona była gładka, sprytna i roztropna, potrafiła wydawać się taką, jaką być powinna, zawsze gotowa do dobrych uczynków i do zabawy, pilnie uczęszczająca i do kościoła, i do teatru, światowa i powściągliwa, z odrobiną ironii, z błyskiem w oku, gdy rozmawiała poważnie ze swym poważnym małżonkiem. Opowiadała mu o swej pracy dobroczynnej, prowadzonej w towarzystwie księży z miejscowej parafii i z okolicy, a ze swych bogobojnych zajęć ciągnęła tę korzyść, że mogła przebywać od rana do wieczora poza domem.

Jednakże niekiedy wśród opowiadania o jakimś uczynku dobroczynnym porывał ją nagle szalony śmiech, śmiech nerwowy i niemożliwy do powściągnięcia. Kapitan biał wtedy zaskoczony, niespokojny i nieco obrażony na żonę, która dala się wprost ze śmiechu. Gdy się nieco uspokajała, zapytywał: „Cóż ci się znowu stało, Lauryno?” „Nic takiego!” — odpowiadała. „Przypomniałam sobie po prostu coś zabawnego, co mi się przytrafiło”. I opowiadała pierwszą lepszą historyjkę.

Latem roku 1883 kapitan Hektor de Fontenne wziął udział w wielkich manewrach trzydziestego drugiego korpusu armii.

Pewnego wieczoru, gdy po dziesięciu dniach spędzonych pod namiotami w szarym polu, po dziesięciu dniach utrudy i niedostatku rozbito obóz w okolicach pewnego miasta, koledzy kapitana postanowili pójść na dobry obiad.

Pan de Fontenne odmówił początkowo udania się razem z nimi, jednakże w następstwie wyraził zgodę, gdy jego odmowa wywołała zdziwienie.



rys. Krzysztof Henisz

SZTUKA DLA DZIECI i MŁODZIEŻY

JANINA OSIŃSKA

Urok — Wrażenie — Sąd...

Gdy patyk, zwykły, szary patyk zmieni się w karego konia i poniesie dziecko w kraj fikcji, wówczas świat w zasięgu dziecięcego oka przestaje być światem dziwnym. Zostaje ujętym, podchodząc do rączki, jak cewojony zwierzę i potulnie bierze udział w zabawie, w pierwszej próbie twórczości człowieka. Stoi, który dotychczas składał się z niespodzianych niebezpieczeństw, z wrogich, twardych kątów i niepotrzebnych czterech nóg stojących ciagle w drodze, jest zwykłym, tylko stołem, ale może stać się każdej chwili przytulnym domkiem albo lasem iłus tam drzew. Każda rzecz, każda sprawa codziennego życia posiada tyle uroku, ile jej użyty twórca fantazja dziecka.

Ala oto w kręgu świadomości dziecka pojawia się pierwsza książka. Świat wznosi się znowu, jak balon kolorowy i pomyka po zagranicę uchwytów. Żółta plama na obrazie nie da się zamknąć w garsie i sztywne oko poznaje powoli, że to, w jasnym skrawku żółtego koloru i w gęstym czarnym kreskach, jest ukryte — kurczak. Zdziwione, oczarowane ucho słyszy słowa, których dźwięk odczytuje od czarnych znaczków i lier brzmi inaczej niż dźwięk znanych codziennych słów. Uwaga skupia się poraz pierwszy na czymś, co działając na zmysły porusza w urokiem ponadmysłowym, urokiem nowych doznań.

A to, jest już inny, tajemniczy świat, w którym wszystko dzieje się tak, jakby było prawdziwe, nie jest, nie powinno być. Złociutkie kurczak odkryte w tym świecie nie może być kurczakiem znanym z polwora. Musi być wyobrażeniem, żółtej puszystości, lekkości piór, kłuski, piskliwej bezbroni. Musi przejąć wzruszenie, małe serce, obudzić wrażliwość, zawiść się w nowej postaci. Kurczak odkryty z pomocą magii słowa, dźwięku, koloru — jest prawdziwsze od kurczaka z podwórka.

Urok trwa. Mały palec pokazuje rozkazuco jakieś miejsce wśród czarnej rzędy liter: — Czytaj, tu czytaj! — ale po chwili zmienia rozkaz: — Nie tu, tu czytaj! — Pamięć zanotowała jakiś szczegół i dziecko chce ujrzeć raz jeszcze ten sam obraz, usłyszeć ten sam dźwięk.

Z czasem, z wiekiem, w miejsce podświadomego poddania urokowi, przychodzi rozpoznawalne wrażenie. Będzie ono trwałe lub przemijające, pszukiwane jako zapomnienie

ANIELA MIKUCKA

życia lub wiedza o nim, porywające wyobraźnię ku coraz nowym — odkrywającym światom, zmieniające już nie znany obraz, ale własne „ja” czytelnika.

Dopiero suma doznanych wrażeń, utrwalenie doświadczeń i pewników, przeprowadzenie pierwszych samodzielnych porównań zacznie urabiać sąd, który waży i ocenia. Dzierżawca umysł dokonuje wyboru, dostrzega pod zasłoną słów teorie, idee, pojęcia. Taka już musi być droga rozwoju człowieka i taka być powinna.

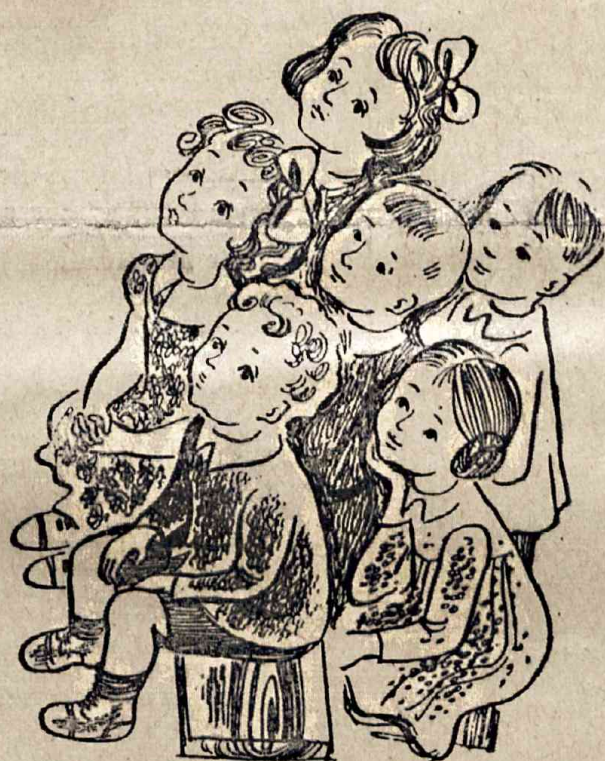
Czy jednak urok doznany w dzieciństwie miją bezpowrotnie? Jeśli stał u kolebki pierwszych wrażeń, to kształtował i urabiał widzenie świata, jeśli rozszerzył zakres doznań człowieka — to ujął osłóści i ciastoty jego sądów.

Urok wraca niekiedy w wieku dojrzałym i pozwala znowu wzruszyć się do głębi magią słów, dźwięku, barwy — bez udziału sądu.

Człowiekowi, który z całą świadomością i wiedzą chce wypowiedzieć swój sąd, podszepnie takie oto wyznaczenie: — „powiedzieć, co w tej książce jest nielogiczne, nieprawdziwe, to łatwo; wytłumaczyć na czym polega jej urok, jej niezatarte wrażenie, o wiele trudniej —”.

Janina Osńska

*) B-y Zeleniński w recenzji „Czerwone i czarne” Stendhala.



rys. J. Karolak

Chłopiec, lat 12, ze środowiska robotniczego

Lubię czytać dużo, czytam książkę można powiedzieć, że przeczytałem około 400 książek — 1 na tydzień może. Traf był, jak tylko do żłobka wstąpił — mamusia pracowała w żłobku, była przeką — mamusia nauczyła mnie czytać. Napisała mi wyraz „mama” i nie mogłem przeczytać. Na drugi dzień już lepiej czytałem i potem było coraz łatwiej. Jak poszedłem do szkoły, już umiałem czytać — bardzo szybko czytałem... (poszedł do szkoły mając 8 lat).

„Kiedy byłem mały, mamusia mi czytała. Lubiłem zawsze słuchać. Bajek mi w ogóle nie opowiadała, mamusia od razu czytała poważniejsze książki dla dzieci od 7 do 8 lat, nie były to bajki tylko o tym, jak Janek walczył z Niemcami, o partyzantach, o poruczniku, który był lotnikiem w 39 r. Miałem własnych 6 książek: „Dzieci pana maj-



stra”, „Podróż Janka naokoło świata”, „Młodzi gwardziści”, „Olszyna Grochowska”, „Pod Staczkim”, „Siedem i królów”. Ale już nie mam, spaliły w czasie powstania.

Te książki mamusia mi kupowała. Nigdy zabawek mi mamusia nie kupowała, tylko zawsze książki — bo ja wolę książkę niż zabawkę. Gdyby jednak mi się ktoś zapytał, czy wolę czytać, czy nie, to już bym powiedział, że książkę, to już bym wolął czytać, bo mam do tego

Wypowiedzi dzieci o pierwszym spotkaniu z książką*)

Chłopiec, lat 12, ze środowiska robotniczego

zamiłowanie. Całymi dniami bym robił szybowce.

Dziewczynka, lat 13, ze środowiska robotniczego

Dziewczynka robi wrażenie opóźnionej w rozwoju i zaniebanej.

Nie lubię czytać, mało czytam. Nauczyłem się czytać jak miałem około 10 lat. Nikt mi nie opowiadał bajek ani historyjek, ani siostra, ani mamusia, ani tatuś, ani poza to mem...”

„Mam tylko dwie książki: „Jaś i Małgosia” i... zapomniałem tej drugiej... o Bałtyku coś. Kupiłem sobie, bo były na wystawie po 20 zł, takie małe, a miałam wtedy pieniądze, więc kupiłem. Nie miałam książek, więc chciałam mieć. Stały na wystawie, więc powiedziałam, że proszę te. Podobają mi się, wołam „Jaś i Małgosia” — tej o Bałtyku jeszcze nie czytałam. Leży — nie mogę się do niej zabrać...”

Chłopiec, lat 13, z rodziny urzędniczej

Lubię czytać, nie raz wolę sobie p-czytać, niż mam wyjść. Dużo czytam, 5 — 7 książek na miesiąc. Nauczyłem się czytać (chłopiec utożsamia „czytanie” z „zainteresowaniem” książkami), kiedy byłem chory, przebiegłem się — nie lubiłem czytać, leżałem, jakaś książka była z obrazkami, więc przejrzałem ją i zacząłem czytać kawałkami — bo nie było objaśnień pod obrazkami i nie wiedziałem, co to znaczy. Ale i kawałków nie mogłem zrozumieć, bo oderwany sens był, więc całą zacząłem czytać. Było to „W pustyni i w puszczy”, podobala mi się; gdybym mógł natrafić na taką, która była brzydsza, to może bym i nie czytał — najgorzej to zacząć. Przedtem też czytałem, ale wołałem wyjść latać, niż czytać. Od tamtej pory zacząłem czytać książki. Zawsze oglądałem najpierw obrazki i jak były ciekawe to czytałem kawałkami, a potem od początku i zawsze czekałem, z niecierpliwością, kiedy dojdę do tego kawałka, który już czytałem”.

Chłopiec, lat 13, ojciec — handlarz galanterią

Ojciec zginął w czasie okupacji, matka handlowała — rozosił drobna galanterię po sklepach i straganach. Przeważnie nie ma jej w domu.

Nie lubię czytać, książki nie zajmują mnie. Jakby była wojenna, to bym może czytał, brat nie raz mi opowiadał taką wojenną, jak przeczytał — z czytelni bierze — ale ja nie mam ochoty czytać. Gdyby mnie książki zajmowały i gdybym miał czas, to bym

sobie wziął i czytał, ale stale muszę lekcje odrabiać, pomagać w domu. Lubię grać w piłkę. Jak miałem 10 lat — poszedłem do szkoły — nie mogłem wcale nauczyć się czytać, dopiero jak poszedłem do II kl. nauczyłem się powoli, powoli czytać. Babcia raz opowiadała jedną bajkę, o sierotce, która miała ojca, matka jej umarła, ojciec się ożenił z inną, która miała córkę — ojciec umarł, a wtedy ona została z macochą, która dla niej była niedobra. Książkę mamusia raz czytała na głos, o powstaniu czy o wojnie — interesowały mnie, słuchałem, nareszcie usnąłem.

Wolę, żeby mi opowiadać, nie chce mi się czytać książki, tak długo trzeba ją czytać i czytać, jak zacząć czytać z początku, a nie podobają mi się, to już nie czytam, a jak ciekła, to w niej nie będzie ciekawego, więcej w grubej może być ciekawego niż w cienkiej.

Wolę jak ktoś opowiada, nie lubię, jak czyta.

Dziewczynka, lat 15, ze środowiska inteligencji urzędniczej

Będąc małą dziewczynką żywo interesowałam się książkami. Z początku interesowały mnie o bajki i to, co pod nimi było napisane. Mając 3 lata lubiłam bardzo loteryjki obrazkowe. Zazwyczaj były na nich kotki, piesiki i inne zwierzęta domowe. Opowiadałam mi również bajki. Jedną z pierwszych była bajka o dumnych kochach, które spotykały się na mostcie. Kiedy byłam starsza, zaczęłam zwracać uwagę, skąd się biorą opowiadania. Mówiono mi wtedy, że z książek. I wtedy to, pragnącami koniecznie nauczyć się czytać.

Opracowała hj

*) Materiały Referatu Literatury dla Dzieci i Młodzieży (Dep. Twórczości Artystycznej Ministerstwa Kultury i Sztuki). Badanie prowadzone pod kierunkiem Ireny Skowronkówny.



rys. J. Karolak

KRYSZYNA KULICZKOWSKA

Rozśpiewana bajka

W naszej literaturze dla dzieci mamy niejedną baśń zrodzoną z piosenki ludowej, choćby, nie szukając daleko, w twórczości Rogoszyńskiego, Porazińskiego... Nuty prostej pieśni unoszą się nad kolebką dziecka, nie trudno jest przekształcić w obraz i nieskomplikowaną fabułę w miarę rozwoju małego słuchacza. Należy clementy treściowe spływają w tok opowieści, rym powtarzających się refrenów wyznacza schemat konstrukcyjny. Twórczość dla dziecka, rozbudowana z prymitywnej piosenki, jest naturalna i świeża, pozbawiona sztucznej literackości i maniery, psychika dziecka otrzymuje w tej formie pokarm zdrowy, tematykę, która budzi żywy odzew, rozszerza skalę jego przeżyć.

W twórczości Hanny Januszewskiej związki z motywami piosenek jest o wiele bardziej istotny niż owa zaznaczona powyżej naturalna i często dająca się zaobserwować zależność. Pieśń jest dla niej nie tylko bodźcem twórczym, lecz przenika wewnętrznym rytmem jej poetycki język, jest żywiołem, który porusza z sobą całą nić tematyczną, staje się sama w sobie celem.

Leżą przede mną trzy spośród pięciu wydanych po wojnie (przeważnie wznowienia) książek Hanny Januszewskiej: „Jawor, jawor” (Czytelnik, 1947), „O chłopcu drewnianym” (PZWS, 1947) i „Siwa gaska siwa” (Nasza Księgarnia, 1945). Każde z zbiorów zawiera kilka małych poematów fantastycznych — autorka tę właśnie formę doprowadziła do mistrzostwa. Rzecz charakterystyczna: na dwadzieścia jeden opowiadań, które składają się na trzy wyżej wymienione książki, motyw pieśni nie występuje tylko w jednym, we wszystkich pozostałych gra rolę większą lub mniejszą. W niektórych jest to tylko jak gdyby rodzaj pointy, w innych stanowi podstawowy motyw konstrukcyjny i treściowy.

Marysia, która nie może znaleźć zgubionych gasek, przyzywa je „polna, cicha, rzewna pioseneczka” i poszukiwana jej zostają uwiecznione skutkiem, z wiejskiej karczmy „piosenka rzewna, piosenka czuła bije w górę, aż do pulapu”, nadzwyczajne słowki odzywały się „nutką misterną, pieszczoną”, świerszcze za kominem tworzą całą kapelę: „A tu cicho, cichuteczko piśnię świerszcz jak pieszczaleczka; drugi huknie głosem wielkim między ciepłe, ciemne belki, i mazurki i hej-naly były z izby pod powyły!”

Ala piosenka to jeszcze nie wszystko, bowiem „to buńczuczne polskie granie” nie znosi obok siebie biernych słuchaczy, lecz „wszystkich kusci w tancie”. W baśniach Hanny Januszewskiej tańczy Kuba Jurek wraz ze świerkiem na krzywej nodze i świeżo upieczonym mazurkiem w rym piosenki dolatującej z karczmy, dwa Michały „przetanęły wieczer krótki, roztanęły w strzępy butki”, pękata pyza poszła w tany z samym wódem, stodoła hula w tańcu z wicherem-oberwańcem, a słomiane chochoły rozweselały małego Marcinka, grając na skrzypkach „pioseneczki piskające, skakające, weselące” i puszczają się w piasy, „to skoczne, to posuwiste, szleszczące, zamaszczające”.

Te ciągle powracające w coraz to innych wersjach motywy piosenek, ten ciągle wysuwający się z akcją rym tańca ma w sobie coś urzekającego, jest w tym jakiś poryw niemal irracjonalny, rozsądzający ramy konstrukcyjne tych małych, stylizowanych poematów. Migotliwy urok płynnego ru-

chu o rozkołysanego dźwięku opiera się o brzozy zwrotek, nabiera regularności, związany monotonna melodią wiersza, nie przestaje jednak kipieć zmysłowym nasyceniem, promienować aż egzotycznym oparem rozśpiewanej i roztańczonej swojszczyzny...

Twórczość baśniowa Hanny Januszewskiej jest jednym z nielicznych w naszej literaturze dla dziecka przykładów sztuki kształtowanej nie w oparciu o — lepiej lub gorzej maskowany — pion dydaktyczny, lecz powstałej z bożej łaski, z artystycznego widzenia świata, z radoznego upojenia się jego urokiem dzisiejszym i minionym. Z baśni tych nie da się odczytać żadnych dyktawek postępowania, nie sugerują one żadnych moralnych nakazów, bowiem gdy rozśpiewana gospodyni chowa roztaczony mazurek do szafy, a Kuba Jurek pod pierzynę, dźwięki muzyki dobiegające z karczmy docierają nadal do jego uszu, one są silniejsze, urok ich trwa... Ten prawdziwy, nie wprężony w służbę wychowawczej tendencji artysty, zaplądnięty na dobro autorki, smak estetyczny dziecka jedynie na tej drodze może się wykształcić i wysubtelnić, a jednak...

Czy po tej drodze poddania się urokowi pieśni można iść dalej? Czy nie grozi autorce powtarzanie samej siebie, lub oddalenie się na takie peryferie poetyckie, gdzie panuje maniera niezrozumiałości i nieskomplikowana fantastyka? Czy z drugiej strony świadome upraszczanie własnego dorobku środków artystycznych nie doprowadzi do spłykania twórczości, zredukowania jej do tuzinkowych, zaledwie poprawnych wierszyków, których nie ma już ostatnio napisać dobre autorki okresu międzywojennego?

Dylemat nielatywny, który można rozstrzygnąć tylko na drodze ambitnych prób. Stoi on przed wszystkimi autorkami, którzy mogą poszczycić się dorobkiem sprzed lat kilkunastu, lecz dalej, w imię dobra własnej sztuki, nie mogą już tą samą drogą podążać. Prawdziwie niebezpieczeństwo nie grozi jednak tym, którzy szukają świadomości nowych dróg, a do nich należy Hanna Januszewska.

Krystyna Kuliczowska

NOWOŚCI WYDAWNICZE DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Mato Lovrak. Dzieci wielkiej wsi. Warszawa, „Czytelnik”, 1948; str. 100 i 4 nl.

Irena Krzywicka. Dzieci wśród nocny. Warszawa, „Czytelnik”, 1948; str. 179 i 1 nl.

Irena Ruskowska. Chrabąszczowe wakacje. Z 8 ilustracjami. Warszawa, „Czytelnik”, 1948; str. 59 i 5 nl.

Polska i Świat Współczesny. Biblioteka Młodzieży. 6. Ewa Szewburg-Zarembina. Dom w elki jak świat. Wydanie czteraste. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1948; str. 80.

Wanda Wasilewska. W pierwotnej puszczy. Z ilustracjami Franciszka Pareckiego. Warszawa, „Książka”, 1948; str. 165 i 3 nl.

Polska i Świat Współczesny. Biblioteka Młodzieży. 60. Jan Wiktor. W górskim słońcu. Z rysunkami Danuty Skawiskiej. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1948; str. 78 i 2 nl.

Funkcja książki szkolnej

O poziomie czytelnictwa masowego stanowi czytelnictwo dzieci i młodzieży i sprawa ta nie podlega żadnej dyskusji. Dopóki nie zostanie zorganizowane czytelnictwo najmłodszych oraz młodziej i starszej młodzieży — dopóki poziom czytelnictwa masowego, wyrobienie smaku literackiego, osiągnięcie twórczego i trwałego stosunku do książki będzie bardzo trudne do zrealizowania i będzie czyniło stosunkowo powolne i nikłe postępy. W naszych warunkach akcja musi iść jednocześnie dwoma torami: drogą krzewienia masowego czytelnictwa dorosłych i drogą organizowania czytelnictwa młodzieży. Należy pamiętać, że zagadnienie to nie jest zagadnieniem odrębnym i specjalnym, ale stanowi organiczną całość z ogólnym zagadnieniem czytelnictwa. Obydwa aspekty tej samej sprawy zyskują tylko na tym: sprawa czytelnictwa młodzieży nabiera większej wagi i znaczenia i pogłębi się, sprawa czytelnictwa masowego dorosłych zdobędzie solidny grunt i szersze, realistyczne perspektywy na przyszłość oraz socjologicznie i psychologicznie uzasadnione podstawy rozwoju.

Pierwsza książka jest w tej konfiguracji spraw zagadnieniem kapitalnym, gdyż w ogromnej większości wypadków decyduje o całym późniejszym stosunku do książki. Pomijam tutaj całkowicie tych, którzy bez względu na „pierwszą książkę”, bez względu na warunki zewnętrzne są z tych czy innych powodów desygnowani na dobrych czytelników. W niniejszych rozważaniach chodzi mi tylko o tego czytelnika, który stanowi pierwszą troskę organizatorów upowszechnienia książki, dla którego właściwa pomoc, odpowiedni kierunek, racjonalne ułatwienia stanowią warunki sine qua non

związania go na całe życie z książką.

I tu właśnie dochodzimy do sprawy książki szkolnej, której funkcja bywa najczęściej charakterystyczna cokolwiek jednostronnie o zwaną zwięźlana i zniekształcana samym zwięźlana i zniekształcana z wielką szkoda dla całości zagnadnien czytelnictwa masowego. Mianowicie nie ulega wątpliwości, że w naszych warunkach „pierwszą książką” olbrzymiej większości dzieci — jest właśnie książka szkolna. Dziecko wiejskie, a częściowo i dziecko robotnicze, nie styka się w okresie przedszkolnym z książką dla siebie, nie widzi jej w domu, nie jest ona jedną z zabawek i rozrywek wieku dziecięcego (gdyż jest jeszcze to w dalszym ciągu najeźdźcą przywilejem niewielkiego kręgu małych odbiorców), nie stanowi ona jego własności, nie stanowi ona jego własności, a słowo czytanie książki dla najmłodszych jest najzupełniejszą rzadkością. Pierwszą więc książką jest książka szkolna — której funkcja jest bardzo prosta i oczywista i w pewnym sensie zupełnie łatwa do zrealizowania: pomoc w nauce i droga do czytelnictwa w ogóle.

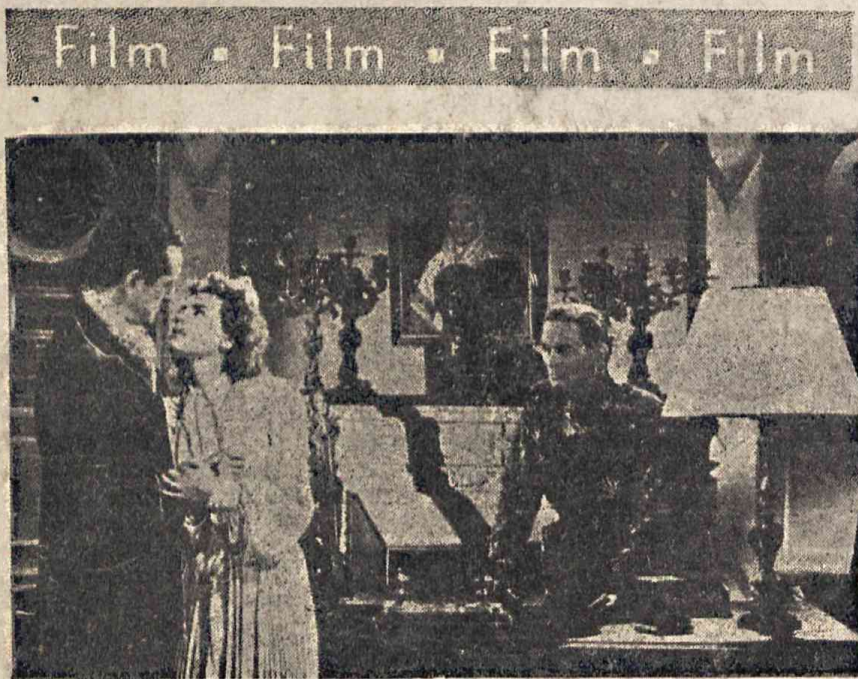
Widać więc z tego, że nasunąć się tutaj muszą dwa zagadnienia: racjonalnego posługiwania się książką przy nauce — co uzależnione jest z jednej strony od jakości książki i od dydaktyki i właściwego ukształtowania, stosunku do czytania w ogóle, tzn. otwarcia perspektyw na świat książek, na samodzielną ich szukanie i czytanie — oraz wiązanie z życiem i budowaniem „światopoglądu”. Trudność tej sprawy leży m. i. w tym, że pierwsza książka szkolna i nawet książki następne, a przeznaczane do nauki, obciążone są szeregiem minusów, których przewyższenie jest konieczne dla trwałego zwią-

zania najmłodszych czytelników z książką. Mianowicie „pierwszą” książką szkolną jest najczęściej trudna, nieraz nudna, łączy się z nią przymus uczenia się i lekcji, które rzadko dają od razu przyjemność i zadowolenie. Małe dziecko na wsi, a także i w mieście, boryka się nieraz rozpaczliwie z całym kompleksem przeszkód, których pokonanie często kończy się zwycięstwem, czasem — zwycięstwem. Ten „pierwszy krok” czytelnictwa musi być więc otoczony szczególną pieczołowitością i od razu upiękaszony książką pozaszkolną, najlepiej własną, lub choćby czytana w bibliotece czy z biblioteki wypożyczoną, a samo uczenie się — musi być koniecznie przeprowadzone tak, aby pierwsza książka pozostała we wspomnieniu jako przedmiot miły, cenny.

Ciągłemu przeżyciu czytelnictwa, ich wzajemne zapełnianie się, ujmowanie ich jako łańcucha przyczyn i skutków, jest jedną z najważniejszych dróg do ich pogłębienia i utrwalenia. A początek tych ogniw musi sięgać lat najmłodszych.

Zagadnienie książki szkolnej obejmuje cały kompleks spraw — począwszy od spraw dydaktyki (p.sługiwania się książką w nauczaniu), poprzez sprawy konstrukcji wewnętrznej i szaty zewnętrznej książki (język, budowa, element zaciekawienia, aktualności) do stosunku do niej, jako przedmiotu materialnego (własność ucznia, p.szanowanie jej kształtu materialnego). W tym wypadku możemy o książce szkolnej mam dotąd na myśli jedynie podręcznik i najprostsze pomoce szkolne, a więc teksty najbliższe związane z lekcją. Stosunkowo bardzo szybko zjawia się jednak lektura obowiązkowa i lektura uzupełniająca, które są krokiem dalszym w świat książki, pierwszym rozszerzeniem horyzon-

Aniela Mikucka



Scena z filmu „Przygoda na wakacjach”

„Przygoda na wakacjach” film francuski

Czy łatwo sobie wyobrazić bohaterów Turgieniwa, jeżdżących ultra-aerodynamicznym Renaultem, model 1946? Nie, nie łatwo.

Tak, jak nie łatwo od początku pogodzić się z tym, co wyreżyserował wybitny człowiek kina, Pierre Blanchard. Słynął on bezceremonialnie po powieści Turgieniwa z pięćdziesiątych lat ubiegłego stulecia, wskrzesił mury przeszłości, ubrał w luźne marynarki i kostiumy kąpielowe, zaodulował i za-instalował je... pod Marsylią.

Po „Symfonii pastorałnej” jeden z największych krytyków francuskich Georges Sadoul zaakował Blancharda, odmawiając mu marki wybitnego artysty. Gdyż bardzo mu się Blanchard jako pastor nie podobal. Po „Przygodzie na wakacjach” zaczynam przypuszczać, że Sadoul nie ma racji. Gdyż bardzo mi się Blanchard, jako reżyser i twórca przetrwał, nie podoba.

W popelnionym wyżej paradok-sie nie ma błędu logicznego; czemu — wyjaśnię.

Umysłnie podkreśliłem odruchowy opór, jaki opanowuje widza, który dowiedział się o zperowa-niu Turgieniwa. Bo stąd zaledwie krótki jeden do absurdu. Uczynimy go. Tak tedy subiektywny i impu-sywny krytyk nawołując może do filmowania „Zemsty”, jako histo-rii rywalizacji dwu wsi społecznie-nych, lub „Potopu”, którego ak-

cja toczyłaby się w 1941 r. w War-szawie.

Słownisko takie byłoby płytsze, niż się wydaje. W Anglii, gdzie każde słowo Szekspira uczodzi nie-mal za świętość narodową, poważo-no się pokazać Makbeta we fraku, a generała Oello we francu-ko-loru khaki. Gdyż problemy są nie-smiertelne.

Zatem pomysł samej transpozycji nie jest zły. Jest do przyjęcia. I trzeba wiele odwagi, by się do tego wziąć. Ale Turgieniew nie jest Szekspirem i odjęcie mu koloru lokalnego odiera mu większą część racji bytu. Nie ratują sprawy nie-wątpliwie walory wizualne, wydo-byte — bądźmy bezstronni — bez zarzutu.

Natomiast konflikt uczuciowy nie jest wolny od usterek. Wyjątkowo nie udał się Blanchardowi se-bachterki, dręczonej pięknieymi wizjami zazdrości. Sen jest prawdo-podobny, niebawale logiczny i mimo dobrych, nierzalnych fotografii wy-głada na dalszy ciąg akcji.

Pierwsza część obrazu jest znacz-nie lepsza od drugiej. Widać to zwłaszcza po Marii Dea, która póty była miła i naturalna, a potem nie-miła i naturalna, póki nie kazano jej śnić.

Gilbert Gil, młody korepetytor o szlachetnym sercu, jest bez-sprzecznie wielką nadzieją francu-skiego ekranu.

Jerzy Płażewski

„Czapajew” film radziecki

Powiedzmy od razu: jeden z naj-lepszyc.

Pokazany niemal na zakończenie festiwalu filmów radzieckich, robi wrażenie urzekające. Film biogra-ficzny w całym tego słowa zna-czeniu.

Imponuje od pierwszych momen-tów, że realizator trzymał się ściśle prawdy historycznej. Już to jedno — według pojęć amerykańskich — mo-że, a nawet musi położyć film. Pa-mietamy, jak preparowano biogra-fię Marii Curie-Skłodowskiej, czy Emila Zoli, które wydawały się nie-dość interesujące, czy nie dość wy-mowne.

W „Czapajewie” nie poświęcono ani razu prawdy dla najdoskonalszej nawet poiny, dla łatwego pa-tosu, czy taniej dydaktyki. A nie trudno było o stworzenie marnego posagu z brązu. Czapajew, ten legendarny wódz rodzący się Armii Radzieckiej, był aż nadto dzieckiem gwałtownej rewolucji, by jego po-stać mogła być wolna od cechy su-rowego prymitywizmu. Tak jest, do-wódca czerwonej dywizji, w 1919 r. nie słyszał o Aleksandrze Macedoń-skim, a nawet nie wiedział, że był aż trzy Międzynarodówki. Czytać i pisać umiał od kilku lat zaledwie i wyobrażał sobie, że weterynarz i felczer mogą promować na doktora jego koma, zwykłego konwoja.

Mówiąc o filmie, że jest głęboko prawdziwy, mówię się tym samym (między innymi), że jest obiektyw-ny. Umysłnie wspominam o drob-nych śmiesznościach wybitnego człowieka, które w najmniejszej mierze nie wpłynęły na wielkość

roli, jaką odegrał w historii rosyj-skiej wojny domowej. Ale właśnie dlatego mogło się wydawać wska-zane podkreślenie tej postaci, albo pokazanie jakiegoś „cudowne-go dziecka”, albo wymalowanie o-brazu z serii „Żywoły świętych”. Problem podłony (tyle, że realny) od tego, który szkicuje Szaniawski w „Zegiarzu”.

Taki zapęty na ostatni guzik por-tret, przeznaczony dla grzecznych widzów, odebrałby wiekowi syno-wi rewolucji całą spontaniczność, całą właśnie wielkość. Uruddniałby i komplikował odpowiedź na pyta-nie, co predestynowało Czapajewa na wodza armii ludowej.

W wersji, którą przyjęło, za do-skonalej kontrastu siły tu sylwetka starego carskiego pułkownika, dla którego dowodzenie dywizją nie jest kwestią jego osobistej wary i dą-żeń, lecz kwestią rutyny i — zawo-du. Ta przeciwna strona barykady pokazana jest również obiektywnie, zarówno w jej mocnych, jak i słab-zych miejscach. Dlatego łatwo ją zrozumieć, uznać za niebezpiecznego przeciwnika i wykreślić elementy, które sprzeciwiają jej klęsce.

Określenie: ścisłość historyczna mówi również i o tym, że ukazując osobę bohatera, nie pominęło całego tła społecznego. Dzięki temu „Czapajew” nie jest mniej czy wię-cej barwną „vie romancée” jednost-ki, lecz dokumentem epoki, ilustrac-ją ogólnego przełomu, który nie o-granicza się do postaci człowieka, lecz w niej znajduje pełniejsze i dokład-niejsze uzasadnienie.

Reżyserom Wasiliewym wypadła przykasa z całego serca za obra-bnięcie linii największego oporu. Dzięki temu, że jako twórcywo podstawowe potraktowali zebrane z pietyzmem dane historyczne, film składa się z faktów i obrazów, wypranych nie-mal zupełnie z retoryki. To bardzo istotne: teatralne rozgadanie filmu, rozdiagowanie, ciążące na niejedn-ym filmie radzieckim, oznacza nie-znajomość języka filmowego, powo-dującą konieczność uciekania się do obcych ekranowi środków.

„Czapajew” jest filmem bardzo filmowym, opowiadany obrazami, gdzie dialog sprowadzono do skrom-nej, należnej mu roli. (Dokładnie są w montażu nieme sceny przygo-to-wań białej armii do napaści na prze-mian zdejścia bezrozko śpiących żołnie-rzy radzieckich i maszerujące ko-lumny białych).

Wyrażono zupełnie niemal dialog opisowy, pozostawiając ten, który jest niezbędny dla charakterystyki postaci. Bardzo słusznie.

Szczegółowe mocne są poza tym liczne i dobre plenery, oraz szeroki plan dynamicznych scen bitewnych.

Jerzy Płażewski

STANISŁAW JERZY LEC

FRASZKI U MAŁP



I goryle i szympanse
mają swoje parlefiranje,
swe kokosy i finanse
i wyznania i blanse,
swoje anse i romanse,
szaly swoje, pardystanse,
nory i pale de danse,
swoje szanse, mezaliance,
szmendefery, preferanse,
swe awanse, konesanse,
„Jupitery — swe tonanse”,
mordobicia i niuansy,
polityczne kontredanse,
małpy swe, homo, szympanse...
Conny soit qui mal y pense!

O WYMOWIE

Chcesz być uwieczniony mówco wawrzynami?
Więc mów trzymając język za zębami.



PRAWDA

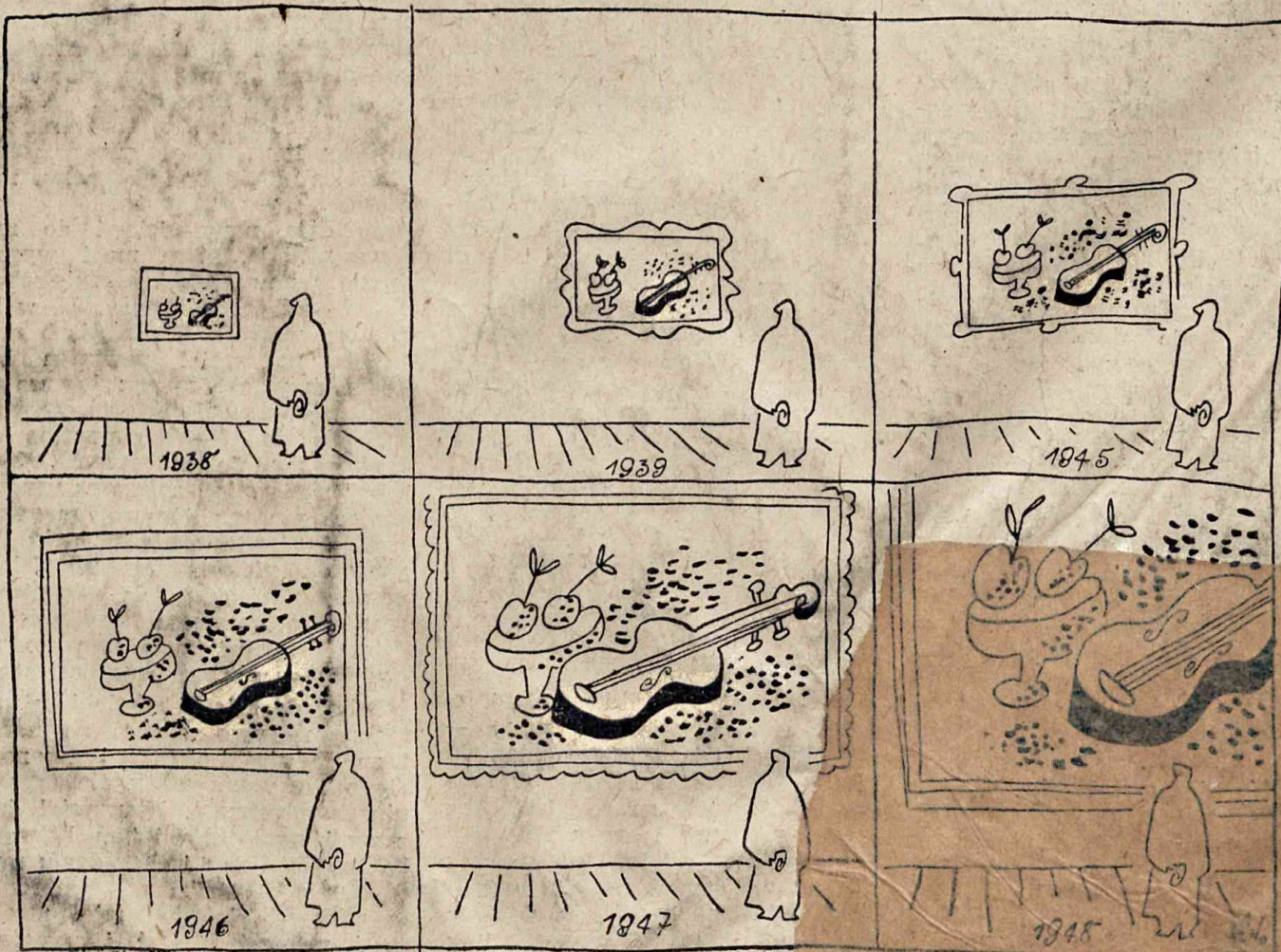
Prawda zwycięża.
Nie bez oręża.



O PRZEZNACZENIU

Ktoś kogoś w mordę wyrzwał, jak marzenie!
I weschnął ciężką i rzekł: Przeznaczenie.

Stanisław Jerzy Lec
ilustracje J. Srokowskiego



Rozwój malarstwa pelskiego na salonach ogólnopolskich

CAMERA OBSCURA CO TYDZIEŃ NAGRODA 1000 ZŁ

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia” z prośbą o współpracę w dziale „Camera obscura”. Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ula-tek i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura” pod adresem: Redakcja „Odrodzenia”, Warszawa, Daszyńskiego 16, dzia- „Camera obscura”. Ustęp taki należy wyraźnie oznaczyć, najlepiej, kolorowym ołów-kiem. Komentarze nie są potrzebne. Do przesyłki należy dołączyć mie, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału i za- strzega sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura”. Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przeznacza nagrodę w wysokości 1000 zł., którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

Nagrodę zł 1000 w ubiegłym tygodniu przekazujemy na życzenie autora wy- cinka z „Niedzieli” na rzecz RPD.

S. H. C. R.

W tygodniku katolickim „Niedziela” znajdujemy następujący wiersz, prze- znaczony dla nas:

CARITAS

Gdzie śmierć i zniszczenie stał
Zbrodnicy druzgocący szal,
Rozpętawszy orkan wojny,
W ducha Ewangelii zbrojny
Wszelkiej rzedzy współczujący
Spiesz balsam miśń kojący

CARITAS.

Gdzie krzywdą jak zdradziecki gad
Do dusz zwątpienia sączy jad,
Niesie czyste niebios tchnienie,
Miłosierdzie, ukojenie,
Pobłażanie i współczucie,
Odczynniki na zatrucie

CARITAS.

Gdzie kraj wyniszczył bezmiar szkód
Odziecia nagość, syci głód,
O narodu przyszłość dbały
Wciąż dożywa wynędziały
Legion działowy, zaś przedszkoli
Też pominąć nie pozwoli

CARITAS.

Gdzie srożył się teutoński kat,
Umysłowości skosił kwiat,
Chcąc narodu mózg zniweczyć,
Do istnienia piał zaprzeczyc,
Tam oświaty wzniósł kaganiec,
Ten na bój z ciemnotą szaniec

CARITAS.

Gdzie zburzył i spłądował wróg
Złupieższy przebogaty bróg,
Płon kultury wieków mnogich,
Skarb zabytków sercu drogi,
Wszczyła dzieło odbudowy
Kraju z ruin na był nowy

CARITAS.

Gdy CARITASU myśł i czyn
Rozkrzewia się, to ludzkich win
Zatrą się następstwa zgubne,
Miłość zmienia samolubne
Serc uczucia na braterskie
Wyrzeczenie bohaterskie
Pierwszych chrześcijan, którzy

Swe rozdali na zlecenie
Chrystusowe, by dla siebie
Skarb bezcenny zyskać w niebie.
S.H.C.R.

Kto jesteś nieznany a wielki poeta,
ukrywający się przed sławą doczesną
pod skromnymi inicjałami S. H. C. R.?

Komu co wolno?

W „Kuznicy” ukazała się nota, po- święcona „Camerze” i kamerzyście.

Autor noty, ob. „kbr.” ustala przy okazji co komu wolno, wytycza rów- nież dalszą linię rozwojową naszego działu:

Niechże kamerzysta „Odrodzenia” — pisma, które nierzadko dalo dowód poważnego stosunku do literatury — wylawia sobie dalej błędy korektorskie i potknięcia gramatyczne w pro- wincjonalnej prasie, niech je opa- truje dowcipnymi uwagami — to mu wolno. Ale, na miłość Boską, niech nie zabiera głosu w sprawach lite- rackich, niech nie wydaje ocen o pi- sarzach, niech nie wyraża swoich gu- stów. Obejdźmy się bez tego. Z krytyką nie jest jeszcze tak źle, aby musiała korzystać z pomocy re- daktorów „Camera Obscura”.

kbr.

W tej samej nocy kwestionuje ob. „kbr.” prawo kamerzysty do przema- wiania w liczbie mnogiej, to znaczy w imieniu czytelników. Wyjaśniamy więc naprzód cierpliwie, że prawo to dają nam tysiące listów od naszych czytelników, którzy coraz częściej i tłumniej proszą o to, by „Camera” nie zajmowała się wylawianiem błę- dów korektorskich i gramatycznych w prowincjonalnej prasie, lecz właśnie tępieniem pewnych zjawisk w li- teraturze i dziennikarstwie, będących spadkiem po okresie międzywojennym, a wprowadzanych tu i ówdzie metodą drewnianego konia trojańskiego do na- szej literatury powojennej. Te życe- nia naszych czytelników wydają się nam słuszne i postępowe, tym bardziej, że są w zgodzie z poglądami krytyków i działaczy społeczno-kulturalnych bar- dziej kompetentnych niż ob. „kbr.”

O tym, jak bardzo należy liczyć się z sądem czytelników i o tym, jak czę- sto sądy te wyprzedzają sądy „wo- dowych krytyków”, świadczą na- kład fakt, że na długo przed tym mi- uczyniła to krytyka zawodowa — umiej- scowiły „Szpilki” w swoim „Gabi- niecie osobliwości” fragmenty pewnej prozy.

Jerzy Korwin

Do podobnych wystąpień należy lic- Jerzego Korwina, który — zamiast zrewidować swój sposób pisania — gro- dzi sądem, lekceważąc sąd czytelników, którzy nie życzą sobie, by „krwawo stłumionego przez władze policyjne — jak pisze o tematyce swojej „powieści” ob. Korwin — strajku robotników łódzkich” nie uzależniać od „ciała Na- ci pokrytego warstwą delikatnego tłus- zczyku...” (patrz poprzednia „Came- ra”).

Zdolność pocenia się

W dzienniku „Echo” czytamy:
DLACZEGO POCIMY SIĘ
ZE STRACHU

Wiadomo, że pod powierzchnią skóry człowieka znajduje się olbrzy- mia ilość (w niektórych wypadkach przeszło tysiąc na centymetr kwadr.) małych, widocznych dopiero pod mikroskopem gruczołów potowych. Zadaniem ich jest wydzielanie po- tu, wraz z nim innych organizmowi niepotrzebnych substancji, przez co wspomaga się pracę nerek. Parowa- nie potu ochładza również skórę człowieka, spełniając w ten sposób rolę regulatora temperatury.

Dlaczego jednak w chwilach du- żego niebezpieczeństwa pokrywamy się — jak się to mówi — zimnym potem? — Jak jest, zimnym, bo nie wywołanym przez gorąco. Właściwość ta, to odczuciowa- po odległych przodkach — pozosta- łość sprzed lat tysięcy!

Wówczas to jedyną bronią czło- wieka była drewniana maczuga lub kamień. Napadnięty zniechęca przez groźne, dzikie zwierzę — ówczesny nasz przodek nie miał wielkich szans zwycięstwa. Ucieczka często była niemożliwa.

Nie dziwnego, że tracili ze strachu przytomność. Upadał. Skóra jego po- ciłała się potem, stawał się zimny.

Nieruchomo leżące ciało sprawiało na napastnika wrażenie trupa a po- nieważ drapieżne zwierzęta często- kroć nie dotykają padliny — nie- rzadko strach ratował życie.

Zrodzona między innymi z tego wra- żenia w buźności walce o byt zdolność pocenia się ze strachu — przecho- wała się drogą dziedziczności aż do naszych czasów. (EM)

Niebezpieczniejsza od zdolności po- cenia się, jest zdolność wypacenia po- dobnych bodźców.